NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. Kraków, 19 września 1908. Nr. 38.

Napad na dwór.

(Treść na str. 3).



Uroczystość w Balicach.

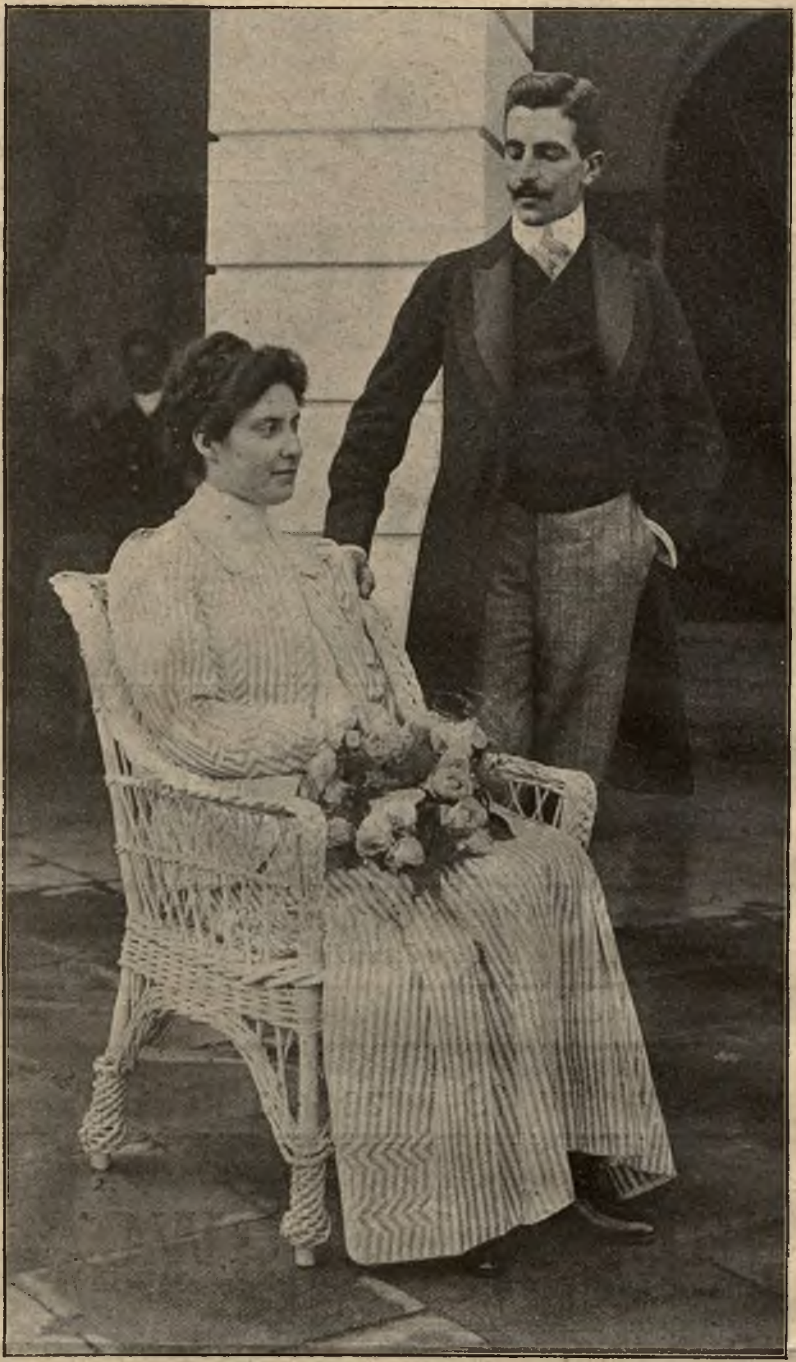
Wiadomość o nastąpić mającym związku małżeńskim między arcyksiężniczką Renatą, córką arcyksięcia Karola Stefana z Żywca a Hieronimem ks. Radziwiłłem z Balic, przyjętą została powszechnie z radością, a para narzeczonych otrzymuje ze wszystkich stron dowody życzliwości i serdeczności.

A wśród tych, którzy niemal pierwsi pospieszyli z życzeniami, znalazł się lud wiejski z dóbr książąt Radziwiłłów pod Krakowem. Stosunek, jaki w tych stronach od wielu lat panuje między dworem a gminą, jest prawdziwie serdeczny, prawdziwie patryarchalny. To też ten lud odnosi się z całem zaufaniem do dworu, cieszy się jego radością, boleje jego smutkiem.

Najlepiej zaświadczyły o tym serdecznym stosunku uroczystości, jakie odbyły się w sobotę i niedzielę ubiegłą, w czasie pobytu w Balicach arcyksięcia Karola Stefana z całą rodziną. Na wiadomość o tem, iż arcyksiążę ma przybyć do Balic, lud miejscowy i z okolicy z własnej inicyatywy zakrzątnął się około godnego przyjęcia dostojnego gościa. Bo choć dobra żywieckie leżą dość daleko, przecież lud z pod Krakowa wie bardzo dobrze, jakim dobrodziejem i serdecznym opiekunem jest arcyksiążę Karol Stefan dla wiejskiego ludu w swych dobrach. Słyszał ten lud niejednokrotnie, ile dobrego i on sam i jego rodzina dla całej okolicy działają, słyszał niejednokrotnie, że dwór żywiecki spieszy zawsze z pomocą w wypadkach chorób, nieszczęść, katastrof, niosąc pomoc zarówno moralną, jak i materyalną.

Więc w dniu przybycia arcyksięcia z Żywca, wzniesiono w pobliżu parku pałacowego w Balicach skromną bramę tryumfalną, przyozdobioną zielenią i chorągiewkami, a w koło niej zebrały się tłumy ludności wiejskiej w odświętnych, malowniczych strojach krakowskich. Młódź zaś dosiadła koni i utworzywszy wspaniałą banderyę, ruszyła na powitanie.

A kiedy na drodze ukazały się powozy, wiozące dostojnych gości, banderya otoczyła je wokoło i wznosząc gromkie okrzyki, odprowadziła do bramy tryumfalnej, gdzie znowu powitała przybyłych starszyzna gminy.



Aparatem redakcyjnym W. Lis.
Uroczystość w Balicach: Arcyksiężniczka Renata i ks. Hieronim Radziwiłł.

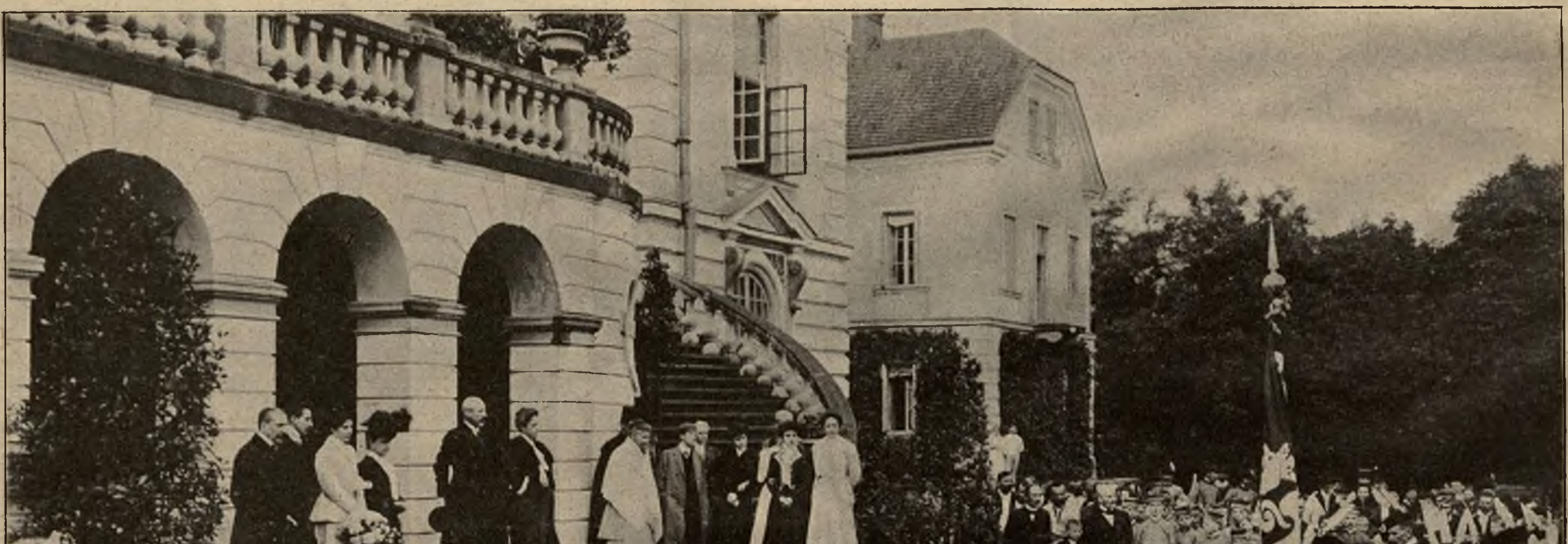
Jeszcze serdeczniejszy nastrój panował następnego dnia popołudniu. Nietylko z Balic ale i z wielu innych wsi, należących do ks. Radziwiłła, jak z Morawicy, Modlnicy itd., przybyły liczne zastępy ludu, by młodej parze narzeczonych i ich rodzicom złożyć serdeczne i szczere życzenia z powodu zbliżającego się połączenia dwu dostojnych domów i rodów.

Uroczystość ta odbyła się przed wspaniałą rezydencyą książąt Radziwiłłów w Balicach. Jest to obszerny, wygodny pałac jednopiętrowy, zbudowany na wzgórzu, skąd prześliczny roztacza się wokoło widok. Wśród zieleni krzewów, kwiatów i drzew, przedstawia się pałac ten nietylko wspaniale ale i nadzwyczaj wdzięcznie.

Na froncie pałacu wznosi się na wysokości pierwszego piętra ogromna terasa, do której z obu stron wiodą szerokie, kamienne schody, pod nią zaś mieści się terasa druga, parterowa, w części tylnej oddzielona kamiennymi filarami.

Na tej to parterowej terasie zebrała się rodzina arcyksiążęca i książąt Radziwiłłów, a wówczas nadchodziły kolejno deputacye oficyalistów dóbr książęcych, rad gminnych, dalej dziatwa szkolna, chór włościański z Modlnicy i czytelnia T. S. L. w Morawicy z gronem mandolinistów. Każda z tych grup składała przez usta swych przedstawicieli życzenia parze narzeczonych.

Bardzo sympatyczne wrażenie wywarło przemówienie 10-letniej dziewczynki, jednej z uczenic szkółki w Balicach, która składając życzenia narzeczonym, wręczyła arcyksiężniczce Renacie piękny bukiet. Przejęta szczerze tą owacyą dziatwy arcyksiężniczka ucałowała dziewczynkę serdecznie w głowę. Także produkcye chóru włościańskiego z Modlnicy podobały się nadzwyczajnie. Zasługa to kierownika miejscowej szkoły p. Flisa, który chór ten przed pięciu laty zorganizował i prowadzi go umiejętnie z wielką gorliwością. Zakończeniem szeregu owacyj była produkcya kółka mandolinistów czytelni ludowej z Morawicy. Mandoliniści wykonali udatnie kilka utworów narodowych, a nakoniec polonez, ułożony przez dyrygenta kółka p.



Uroczystość w Balicach: Produkcya chóru włościańskiego z Modlnicy przed pałacem w Balicach. Aparatem redakcyjnym W. Lis.

Ekera na cześć pary narzeczonych. Imieniem czytelni morawickiej przemówił serdecznie jej przewodniczący, składając narzeczonym w dani na pamiątkę uroczystego dnia dwa piękne ręcznie malowane kartony, zawierające nuty polo neza na ich cześć ułożonego, oraz widok pałacu w Balicach z odpowiednią dedykacyą.

Zarówno arcyksiąże Karol Stefan jak książe Dominik Radziwiłł oraz para narzeczonych, dziękowali uprzejmie i serdecznie zebranym włościanom za tyle objawów przywiązania i za szczere życzenia.

Szereg zdjęć, dokonanych w Balicach dzięki uprzejmości arcyksięcia Karola Stefana i księstwa Radziwiłłów, zamieszczamy w dzisiejszym numerze *Nowości Illustrowanych*.



Aparatem redakcyjnym W. Lis.

Uroczystość w Balicach: 1. Arcyksiężniczka Renata. 2. Książę Hieronim Radziwiłł. 3. Księżna Dolores Radziwiłłowa. 4. Arcyksiąże Karol Stefan. 5. Arcyksiąże Wilhelm. 6. Arcyksiąże Leon. 7. Arcyksiężna Marya Teresa. 8. Arcyksiąże Karol Olbracht. 9. Arcyksiężniczka Matylda. 10. Panna Bänder. 11. Księżna Stanisławowa Radziwiłłowa. 12. Księżniczka Celina Radziwiłłówna. 13. Książe Dominik Radziwiłł. 14. Arcyksiężniczka Eleonora. 15. Księżniczka Izabela Radziwiłłówna.

Napad na dwór.

(Do illustracyi tytułowej).

Przed paru dniami zaszedł na jednym z folwarków ordynacyi przeworskiej, należącej do księcia Andrzeja Lubomirskiego smutny wypadek, że polowy Konieczny wystrzałem ze strzelby położył trupem włościanina Jakóba Pieniążka, którego napotkał w szkodzie.

Wywołało to, rzecz naturalna, ogromne wrzenie pomiędzy miejscową i okoliczną ludnością, które o mało nie stało się przyczyną groźnej katastrofy. Administrator książęcego folwarku w Kosinie urządził t. zw. dożynki dla służby dworskiej. Gdy czeladź zabawiała się na podwórzu przy dźwiękach ochoczej muzyki, administrator gościł w pokojach prócz swej rodziny i kilku sąsiadów. Ponieważ mieszkańcy Kosiny znani są z niespokojnego usposobienia, które szczególniej w czasie dożynków daje pochop do awantur i bijatyk, zamknięto bramę dworską, aby nie dopuścić na dziedziniec folwarczny kilkudziesięciu młodych parobczaków, zgromadzonych koło dworu. Gdy w nocy jeden z gości odjeżdżał, korzystając z chwilowego otwarcia bramy gromada młodych awanturników, uzbrojona w pałki, wtargnęła przemocą na dziedziniec, a następnie do izby, w której się zabawiała czeladź. Rozpoczęła się bijatyka. Po rozpędzeniu tanecznych padło hasło: „a teraz na panów!“ W jednej chwili powybijano we dworze wszystkie szyby, a jeden z gości, który usiłował uspokoić roznamiętniony tłum, otrzymał uderzenie kołem w rękę i musiał się cofnąć do domu. Pomiędzy zgromadzonymi we dworze gośćmi wybuchł łatwo zrozumiały popłoch, a gdy nadto kilka kobiet zemdlało, napastnicy zaś zaczynali coraz natarczywiej następować, zdawało się już, że katastrofa jest nieunikniona. Aby niepotrzebnie nie przelewać krwi dano z okna kilka strzałów rewolwerowych ponad głowy oblegającego tłumu i to jakoś ostudziło zapał a zmusiło do zaniechania napaści i opuszczenia dziedzińca. Do rana żaden z gości nie mógł wyjechać, ponieważ napastnicy, którzy wprawdzie opuścili dziedziniec, odgrażali się, że każdego, ktoby się ośmielił przestąpić próg, zabiją jak psa...

Rano nastał zupełny spokój, goście rozjechali się do domu, a napastnicy rozeszli się po wsi; żandarmerya rozpoczęła poszukiwania za sprawcami napadu, którzy przed kratkami sądowemi odpowiedzą za swą zbytnią krewkość.

Illustracya nasza przedstawia krytyczną chwilę, gdy oblegający starają się dostać do domu, by wywrzeć zemstę na administratorze i jego gościach. Smutne to, a jednak prawdziwe, że zamiast zgody pomiędzy dworem a wsią stosunki się coraz bardziej naprężają, a jest to owocem podszeptów nieproszonych doradców, którzy dla własnego interesu bałamucą naszego wieśniaka, prowadząc go w ten sposób zamiast do złotej wolności... do kryminału!



Aparatem redakcyjnym W. Lis.

Uroczystość w Balicach: Gmina wsi Balice w chwili składania życzeń.

Śmierć znakomitego fizyka.

W dniu 25 sierpnia br. zmarł w nadmorskiej miejscowości kąpielowej bretońskiej La Croisie sławny fizyk francuski, Henryk Becquerel, stały sekretarz Akademii Umiejętności w Paryżu.

Becquerel pochodził ze starej rodziny uczonych, a już jego dziadek i pradziadek wsławili swe nazwiska przez badania fizykalne, głównie w dziedzinie elektrochemii. Urodził się 15 grudnia 1852 roku w Paryżu i już od wczesnej młodości poświęcił się studyom w zakresie elektryczności i optyki. Wykształcenie odebrał w szkole politech-



Aparatem redakcyjnym W. Lis.
Uroczystość w Balicach: Czytelnia T. S. L i kółko mandolinistów z Morawicy.

nicznej paryskiej, gdzie też w roku 1878 został asystentem. Od r. 1892 do 1895 wykładał jako profesor w paryskiem muzeum przyrodniczem, skąd go powołano na katedrę w politechnice. Przed dwunastu laty w ciągu swych doświadczeń zrobił odkrycie, że niektóre ciała mają własność promieniowania, a promienie ich przenikają nawet rozmaite przedmioty. Wynik badań Becquerela dał assumpt do słynnych odkryć profesora Sorbony paryskiej Curiego i jego małżonki Polki p. Skłodowskiej, którzy odkryli radioaktywne właściwości radu. Na tych badaniach oparł angielski fizyk Ramsay swoją teoryę o przemianie pierwiastków. Tak zwane promienie Becquerela wytwarzają w powietrzu ozon, szkło zabarwiają na czarno, żółty fosfor przemieniają na czerwony, niweczą bakterye, a na skórze wywołują zapalenie.

Za zasługi, położone na polu fizyki, otrzymał Becquerel w r. 1903 wspólnie z małżonkami Curie nagrodę Nobla, a uniwersytet Kolumba w Nowym Jorku obdarzył go medalem pamiątkowym Bernarda. Był także członkiem korespondentem berlińskiej akademii umiejętności. W r. 1889 zajął fotel jako „nieśmiertelny“ w paryskiej Akademii, a przed kilku miesiącami zamianowano go stałym jej sekretarzem.

Przez śmierć znakomitego uczonego, którego portret w bieżącym numerze podajemy, poniosła nauka ogromną stratę, gdyż licząc lat 55 wieku, mógł jeszcze długo i wydatnie pracować w umiłowanym przez się zawodzie.

Instytut muzyczny w Krakowie.

Dnia 10 b. m. odbyło się uroczyste otwarcie nowego instytutu muzycznego w Krakowie. Przy wzmagającym się obecnie ruchu muzycznym w naszem mieście szkoła ta skupi niewątpliwie w krótkim czasie liczny zastęp zwolenników sztuki do niedawna u nas mało kultywowanej, zwłaszcza że założyciele tej nowej uczelni wzięli sobie za zadanie nietylko fachową pracę pedagogiczną, lecz przytem rozbudzanie ogólnego zamiłowania do muzyki i uszlachetnienie pojęć estetycznych w tej dziedzinie przez urządzanie stałych wieczorów kameralnych z produkcyami utworów fortepianowych, skrzypcowych, wiolonczelowych, wokalnych, ensemblów instrumentalnych i choralnych. Każdy taki wieczór artystyczny będzie miał program ułożony celowo z zachowaniem stylu i artystycznego podobieństwa utworów.

Pozatem instytut organizuje stałą muzykę kościelną w kościele św. Anny, celem podniesienia smaku i dobroci wykonania i na tem polu.

Profesorami instytutu i założycielami są pp.: Czop-Umlaufowa, znana i ceniona w mieście pianistka i profesor Stanisław Giebułtowski, artysta skrzypek, były wychowanek konserwatoryum wiedeńskiego, uczeń Helmesbergera, od kilku lat osiadły w Krakowie, gdzie niejednokrotnie brał udział jako pierwszy skrzypek w licznych produkcyach kwartetowych i solowych, pozatem zajmując się przedewszystkiem pracą pedagogiczną. Nauczycielami instytutu są również p. Bolesław Raczyński, skrzypek i kompozytor (autor niedawno granej u nas opery „Królewicz Jaszczur“), p. Michał Świerzyński, znany w świecie kompozytor i kierownik chórów oraz p. Bolesław Wallek Walewski, kompozytor, kierownik Chóru akademickiego.

Już nazwiska powyższe zapewniają młodej instytucyi rozwój i powodzenie. Należą one bowiem do osób znanych nietylko w Krakowie, ale w całym kraju jako siły artystyczne bardzo wybitne, wysoko utalentowane i w dziedzinie muzyki głęboko wykształcone. Przedewszystkiem zaś grono założycieli i kierowników krakowskiego instytutu muzycznego owiane jest gorącem i szczerem umiłowaniem muzyki, a do podjętego zadania wzięło się z ogromnym, prawdziwie młodzieńczym zapałem.

Życzymy też z naszej strony instytutowi muzycznemu jak najwspanialszego i najpiękniejszego rozwoju dla dobra i na pożytek polskiej sztuki.

Lokal instytutu muzycznego, skromnie ale z artystycznym smakiem i stylowo urządzony, mieści się przy ulicy Gołębiej 14.



Aparatem redakcyjnym W. Lis.
Uroczystość w Balicach: Chór włościański z Modlnicy z dyrygentem p. Flisem na czele.



Aparatem redakcyjnym W. Lis.
Uroczystość w Balicach: Rezydencya ks. Radziwiłłów w Balicach.

Tajemnice wielkiego świata.

POWIEŚĆ.

Napisał Czesław Radomski.

CZĘŚĆ DRUGA.

14

Nagle umysł jego jakby się rozjaśnił, bo niemal pokornie i słodko przerwał Zofii mowę:

— Tak, tak! masz racyę... a ja jestem szaleńcem, unosząc się gniewem, gdy obowiązkiem moim byłoby cię pocieszać. A! teraz rozumiem... jesteś rzeczywiście bardzo nieszczęśliwa. Powinienem był domyślić się tego oddawna... lecz kochając cię zbyt gorąco, utraciłem zwykłą przenikliwość. Jeszcze jedno... ostatnie zadam ci pytanie, Zofio. Mam nadzieję, że mi na nie odpowiesz szczerze.

Twarz mu się wypogodziła; głos dzwonił życzliwem brzmieniem.

— Człowiek, którego brat twój... pewnej nocy w Sielance?

Nie śmiał wyrażać się z naciskiem, ani powiedzieć, że Karol przelał krew tego człowieka. Sądził, że samo wywołanie tego wspomnienia wystarczy.

— Wszakże on nie był złoczyńcą, nieprawdaż? Może to się odbyło w oczach twoich?... Och! rozumiem teraz, dlaczego mnie nienawidzisz, bo to ja przecie byłem bezwiedną przyczyną okrutnego czynu!...

Zofia nie odpowiedziała mu ani słowa, lecz oczy jej spuszczone i rzęsiste łzy, nagle spływające po jej bladej twarzy, były dla Korfa niezbitym dowodem, że odgadł prawdę.

— Nie chcesz mi wyjawić kim on był?... Nie! Może powiesz później, gdy większa ufność zapanuje między nami?

Ona drżała znowu, zgnębiona prawie niewypowiedzianem, a jednak posiadającem cechy wielkiej prostoty i wspaniałomyślności przebaczeniem. Cyniczny awanturnik pod wpływem miłości, przeobrażał się w człowieka szlachetnego. Bezwątpienia na dnie motywów owego przebaczenia znaleśćby się dała nieodzowna, narzucona mu poniekąd konieczność zatrzymania przy sobie żony, pozyskanej uroczyście, okazale i z szumnym rozgłosem — oraz potrzeba uniknięcia za wszelką cenę straszliwego skandalu, jaki wywołałby niezawodnie proces separacyjny, lecz Zofia, znużona świeżemi, bolesnemi wrażeniami, dostrzegła obecnie w jego zachowaniu się tylko natchnienie szlachetnego, wrodzonego mu instynktu i serdecznego, głębokiego uczucia.

Upadła prawie na kanapę, nie mogąc dłużej utrzymać się na nogach. On zaś, oparty o poręcz, pochylił się nad nią i szeptał czule:

— Nie mówmy już o tym, którego kochałaś; zazdrość moja niema żadnej racyi bytu... Mam nadzieję, że go kiedyś zapomnisz... co do mnie, ja już teraz zapominam o jego istnieniu.. Zbadajmy obecnie jak dwaj dobrzy przyjaciele, jakimi jesteśmy... położenie nasze, wytworzone przez przeznaczenie... Prócz matki mojej i ciebie nie mam nikogo na świecie, a ty masz mnie tylko...

Zofia mimowolnem poruszeniem całej postaci zdawała się słowom jego zaprzeczać.

— Nie chcę nawet mówić o twoim ojcu i bracie. Potem, co odgadłem, pewny jestem, że między nimi a tobą nie było nigdy i nigdy nie będzie prawdziwego przywiązania...

— Zapewniam pana, że się mylisz...

— Oni cię nie kochają, a ty kochać ich chyba możesz tylko z obowiązku. Lecz czy obowiązek jest w mocy wydawać sercu rozkazy? Nie!... A! prawda, masz jeszcze ciotkę, lecz ta nie stara się nawet ukrywać swego egoizmu. Kochana więc jesteś jedynie przez dwie osoby na świecie: przez matkę moją i mnie. Jeśli mnie nie kochasz teraz, to jest coś jednak, co nas w przyszłości połączyć musi... twoje dziecko, któremu za kilka miesięcy dasz życie i które w imieniu prawa będzie mojem.

Zofia zadrżała. Dziecko Zygmunta stać się ma dzieckiem barona Korfa. Okropność!

— Nie obawiam się, abyś dom mój opuściła, albo zrozpaczona szukała spokoju w śmierci... Nie dość, że twe życie do mnie należy, bo dałaś mi już dawniej słowo uczciwej kobiety, że żyć będziesz, lecz nadto masz najświętszy obowiązek dbać o nie dla swego dziecka. Nie wolno ci również narażać się na niepewne istnienie, pozbawione środków, służących do utrzymania go w przyszłości. Pamiętaj, że jesteś matką! Prócz miłości macierzyńskiej, inna jakabądźkolwiek miłość dla ciebie istnieć nie może!... Ja z moją narzucać ci się nie będę; pozwolisz jednak, że ją przeniosę na dziecko, które chociaż nie moje, będzie należeć do mnie. Przyjmuję je za własne bez żadnej utajonej myśli... chcę tylko dać ci nowy dowód mojego do ciebie przywiązania.

Dotknął ustami jej włosów.

— Składam ojcowski pocałunek na głowie matki mojego dziecięcia. Nie lękaj się mnie więcej. Przekonasz się, że i bez miłości wzajemnej możemy być szczęśliwi... Bądź zdrowa. Śpij i odpoczywaj najdłużej, ja zaś zajmę się natychmiast przygotowaniami do najszybszego opuszczenia przez nas Warszawy.

Nie odpowiedziała mu ani słowa. Czuła się moralnie i fizycznie bezsilną, a nierozerwalnie złączoną z człowiekiem, który stał się samowładnym panem jej życia i honoru jej rodziny.

Tego samego dnia wieczorem zgodziła się bez dyskusyi na wszystkie projekta bliższej i dalszej przyszłości, przedstawione jej przez męża do aprobaty. Postanowiono za wspólną zgodą o błogosławionym stanie Zofii nie wspominać nikomu — nie wyjmując obu Wielohradzkich i Dulskiej — tembardziej, że jak dotąd, stan ten nie uwidoczniał się zbytecznie i mógł być dość długo jeszcze niespostrzeżonym.

VI.

Dziwne wyroki Opatrzności.

Nazajutrz rano Korf w biurze swojem bankowem na parterze przeglądał plany rozmaitych willi, położonych w paromilowej odległości od Warszawy, dostarczone mu przez jedną z ajencyi, trudniących się wynajmowaniem i sprzedażą podmiejskich posiadłości.

Woźny zaanonsował hrabiego Wielohradzkiego.

— Witam cię mój zięciu — rzekł jak zwykle wykwintnie ubrany i wyświeżony Mieczysław hrabia Wielohradzki, z egzotycznym kwiatkiem, wpiętym w lewą dziurkę górnego wyłogu u długiego, do kolan sięgającego surduta. — Przyszedłem prosić o pokazanie kontraktu sprzedaży lasu w należących do mnie niegdyś dobrach lubelskich, jak sądzę bowiem, byłem przez nabywcę srodze oszukany. Kontrakt znajduje się w papierach przez ciebie mi zabranych. Rzecz dotąd nieprzedawniona, mógłbym rozpocząć nowy proces...

— I przegrać — przerwał baron — bo ręczę ci, że przegrasz go niezawodnie. Zresztą, kochany teściu, akta twoje są u Zosi, która stała się ich jedyną właścicielką.

— Zosia? — zapytał hrabia zdziwiony. — No, no! tem lepiej... tem lepiej! — dodał uśmiechając się z widocznem zadowoleniem. — Zatem pójdę zaraz do niej...

— Byle nie dziś. Teraz ubiera się, a zaraz po śniadaniu wyjeżdża z wizytami. Ponieważ to są wizyty, które oddawna powinna była oddać osobom starszym i zajmującym w naszym świecie wysokie stanowiska, więc proszę cię hrabio, nie przeszkadzaj jej w spełnieniu nudnego obowiązku. Niech się ta pańszczyzna już raz skończy i pozwoli nam czas jakiś oddychać spokojnie.

— Zgoda, zgoda! — odparł Wielohradzki cały promieniejący. — Zresztą — spojrzał na zegarek — i ja za pół godziny wyjechać muszę koleją, proszony bowiem jestem do księcia Ostrogskiego na wielkie polowanie na dziki, które licznemi stadami macior i warchlaków pustoszą mu pola i zasiewy. Zabawię w Babińcach dni parę. Bywaj mi więc zdrów i wesół, a Zosię w mojem imieniu ucałuj.

— Spełnię polecenie sumiennie... Szczęśliwej drogi i szczęśliwego powrotu.

W kilka minut po zamknięciu się drzwi za teściem, wpadł do biura jak burza szwagier, nie zaanonsowawszy się nawet przez woźnego.

— Wyobraź sobie — mówił zgorączkowany i widocznie bardzo zaniepokojony — spadła mi na łeb nieznośna awantura...

— Z panną Julią rudowłosą?

— Zgadłeś, jednak niezupełnie. Z powodu Julki mogę mieć bardzo przykre zajście...

— Z drugim jej kochankiem?

— Nie przerywaj! Drugi kochanek, zwłaszcza jakiś człowiek miły i zgodny, nie przestraszyłby i nie rozgniewałby mnie wcale... lubię spólników. Inna rzecz ojciec, papa rodzony, o istnieniu którego nic a nic dotąd nie słyszałem.

— Domyślić się mogłeś. Bez ojca nie byłoby Julki...

— Draźnisz mnie dziś swoimi niewczesnymi żartami. Słuchaj raczej! Otóż ten ojciec, zacofany jakiś szaraczek grozi, że jak psa zastrzeli uwodziciela córki, jeśli nie poprowadzę jej do ołtarza i nie wezmę z nią ślubu, jak się patrzy. Ma przysłowie „jak się patrzy“, które co chwila powtarza...

— Cóż ty na to?

— W nos mu się roześmiałem...

— A on?

— Na dziś wieczór naznaczył termin ślubu w kościele na Koszykach. Dawałem odszkodowanie: naprzód tysiąc, potem dwa... w końcu trzy tysiące rubli. Odrzucił z wściekłem uniesieniem, twierdząc, że nie handluje cnotą swojego własnego dziecka.

— Może zgodziłby się na dziesięć tysięcy rubli?

— Nie, nie! Ja znam się na ludziach. Twardy jak skała! Julka przysięga, że ma niewzruszone zasady i górne pojęcie o honorze.

— Cóż poczniesz?

— Już począłem... Znam osobiście komisarza policyi, kapitana Dwojegłazowa. Poszedłem do niego i opowiedziałem mu całą historyę. Człowiek bardzo życzliwy i już nieraz oddawał mi przysługi. Polecił jednemu ze swych cywilnych ajentów czuwać nademną. Jeśli to nie pomoże, odstawi tatula na prowincyę do miejsca zamieszkania, lecz od razu, bez jawnej i krzyczącej przyczyny, uczynić tego mu nie wolno, bo szlachetka ma pasport i wszelkie legitymacye w zupełnym porządku. Dajże mi a conto pensyi za przyszły miesiąc paręset rubli, żebym miał czem opłacać moją gwardyę... moją straż bezpieczeństwa.

Korf sięgnął w zanadrze po pugilares, wyjął z niego trzy tęczowe papierki i podał Karolowi.

— Mało! — syknął młodzieniec.

Baron dołożył dwa jeszcze.

— Dziękuję. Pojmujesz, że od tygodnia prawie nie chodzę wcale piechotą, a wysiadam z dorożki tylko w miejscach, w których czuję się zupełnie bezpieczny. Dyabli nadali, że Guciowi i Franiowi przyrzekłem pod słowem honoru stawić się dziś w nocy w Marcelinie...

— I pojedziesz?

— Co chcesz?... muszę, dałem słowo honoru... zwłaszcza, że będzie baczek. Wiesz przecie, że nie jestem tchórzem, ale wezmę z sobą ajenta i każę go utraktować suto. Do widzenia! Piekielnie nudna awantura!

Wybiegł szybko, jakby go wicher wymiótł z biura.

Korf kazał zatelefonować do agencyi, wynajmującej i sprzedającej realności podmiejskie, że jedną z willi, przedstawionych mu na planie i w fotografii, najmuje na całe lato. Poczem udał się do Zofii i doniósł jej o tem, nie wspominając wcale o odwiedzinach teścia i szwagra.

— Nająłem tylko — mówił słodkim głosem — bo przedewszystkiem nie chcę nic kupować bez twego zezwolenia, a przytem sądzę, że nie zabawimy tam długo, przyjdzie nam bowiem wkrótce wyjechać zagranicę.

— Wszystko, co chcesz zrobić i co dotąd zrobiłeś, uważam za dobre — odpowiedziała młoda kobieta, starając się nie okazywać mu ani obojętności, ani niezadowolenia.

— Jest to obszerny dom w ogrodzie, położony w Miłośnie wśród lasu, a oddalony od innych o wiorst parę. Będziesz mieć w nim spokój zupełny. Ciotka twoja, niedomagająca nieco od dni kilku, z którą widziałem się wczoraj, namawiała, żebyśmy z nią razem pojechali do Deauville, gdzie za cztery tygodnie odbyć się mają wyścigi konne, lecz pomyślałem sobie, że wielkoświatowa wrzawa, z którą tam spotkać się musisz, będzie ci bardzo niemiłą...

— Dziękuję — rzekła Zofia, usiłując rozjaśnić twarz uśmiechem, pragnęła bowiem okazać mężowi wdzięczność za odgadnięcie jej chęci. — Tak, spokoju i samotności potrzebuję przedewszystkiem... Przypuszczam, że nie powiedziałeś cioci?...

— Bądź pod tym względem zupełnie spokojną. Nikt, ani w Warszawie, ani w Paryżu, nie dowie się o niczem, dopóki nie zostaniesz matką.

— Lecz doktór?

— Nie bacząc, że to nadmiar ostrożności i z nim widziałem się także. Zaręczam ci, że z jego strony nie potrzebujemy lękać się żadnej niedyskrecyi.

. . . .

Wielohradzki, którego — gdy późnym wieczorem przybył do Babiniec, ulokowano w jednym z najwygodniejszych i najstaranniej urządzonych pokoi gościnnych — ułożywszy się do łóżka około północy, długi czas zasnąć nie mógł, a gdy usnął nareszcie, dręczyć go zaczęły okropne widziadła niedawno minionej przeszłości. Zdawało mu się, że

jest w Sielance, w ogrodzie, z kordelasem w ręku. Przed nim toczy się walka zacięta... Syn cofa się, wyczerpany z sił długo trwającym pojedynkiem z przeciwnikiem, świetnie władającym szpadą. Na twarzy Karola maluje się znużenie i osłabienie... Wtedy on przyskakuje z tyłu do nieznanego młodzieńca i w plecach jego topi po rękojeść ostrze myśliwskiego noża. Trup krwią zbluzgany pada u stóp mordercy... Okropność! On, Mieczysław hr. Wielohradzki, potomek wojewodów i kasztelanów, wnuk zasługą i cnotą słynących w ojczyźnie mężów, popełnił nikczemną zbrodnię, jak pierwszy gorszy zbój z przedmieścia!... Nie uniewinnia go obrona honoru, bo wie, że nie chodziło mu wcale o zmazanie plamy z czci rodzinnej, tylko o usunięcie z drogi człowieka, stojącego na przeszkodzie w dopięciu ohydnego celu sprzedania parweniuszowi córki — niewinnej ofiary — za cenę długów, grożących mu hańbą i poniżeniem w oczach świata, do którego należy krwią, tytułem i nazwiskiem. Teraz żyje jak pasożyt na koszcie zięcia, którym pogardza, którym się brzydzi... noc zaś każda przynosi torturujące go wspomnienie podle dokonanego mordu... Sumienie, milczące w dzień, bo znieczulone chwilowo cynizmem, odzywa się obecnie gwałtownie i uporczywie, ciężarem zmory gniotąc mu piersi, albo usuwając sen z powiek.

O świcie zerwał się z posłania, nie mogąc ścierpieć dłużej nieznośnej męczarni.

Otrzeźwiwszy się umyciem, wdział na siebie pospiesznie przez służbę przygotowany wykwintny strój myśliwski, który przywiózł z sobą z Warszawy — i wyszedł na obszerny dziedziniec. Tu panował już ruch, poprzedzający łowy.

Leśniczy wydawał rozkazy gajowym, aby wyruszyli przodem na wozach pod bór, czerniejący na widnokręgu, a o pięć wiorst od rezydencyi książęcej oddalony, i tam wyznaczyli stanowiska dla zaproszonych na polowanie gości. Część tych ostatnich pojechać miała dwoma parokonnymi brekami, oczekującymi na nich w pobliżu kolumnady, zdobiącej fronton renesansowego pałacu. Dla młodszych panów masztalerze oprowadzali osiodłane mierzyny, włożone do skoku przez płoty i rowy, oraz do biegu po zaoranych polach i krzakami porosłych podlesiach. Przy wspaniałej bramie wjazdowej paru psiarczyków trzymało na jedwabnych smyczach rasowe ogary, które wraz z nagonką włościańską, oczekującą już w lesie, powinny były wypłoszyć z gąszczów i wygnać na ugory wczoraj jeszcze wytropione i osaczone w legowiskach stado dzików. Inni psiarze uspokajali niecierpliwiącą się gromadę skomlących i wyjących kundli, zaprawionych do rzucania się na najtęższe odyńce i do zmuszania rozjuszonego zwierza, by wychodził na strzały.

Lokaj, przez marszałka dworu przeznaczony do usługi Wielohradzkiego, spostrzegłszy go na podwórcu, podbiegł doń ze strzelbą.

— Proszę jaśnie pana — rzekł lokaj, broń podając.

— Czy nabita?

— Obie lufy proszę pana hrabiego... kulami.

— Jak tam te 'psiska drą się niemiłosiernie! — szepnął Wielohradzki, dotąd jeszcze roznerwowany przykrem wrażeniem snu, trapiącego go w nocy. Zbliżył się do psiarczyków i pytał: — Czy nie możecie ich uspokoić?

— To niecierpliwe juchy, jaśnie panie. Jużby chciały kudłać pojedynka, albo maciorę.

W tejże chwili dwa ogromne pokurcze, po brytanie i suce owczarskiej, wyrwawszy gwałtownem szarpnięciem niedorostkowi z garści sznur, na którym ich trzymał, rzuciły się na siebie zajadle, tarzając się w żwirze i gryząc wzajemnie, tuż... tuż przy Wielohradzkiego nogach, opiętych zamszowemi kamaszami, sięgającemi mu do kolan. Hrabia wciąż jeszcze niezupełnie przytomny, jakby odurzony sennością nieprzezwyciężoną, zamiast w bok odskoczyć, chwycił podaną przez służącego fuzyę za lufy i kolbą — jak maczugą — grzmotnął w łeb naprzód jednego, następnie drugiego psa. Oba porwały się z ziemi w okamgnieniu, a stanąwszy na tylnych łapach, szły z podniesionemi w rórę przedniemi na natręta, przeszkadzającego im spór familijny załatwić, według przyjętego wśród psów zwyczaju. Wielohradzki zasłonił się strzelbą. Łapy kundli spadły niemal równocześnie na jej zamki. Rozległ się odgłos jednego i wnet potem drugiego strzału. Hrabia, przeszyty kulami dwururki, leżał na ziemi. Białą kamizelkę i wytworne jeszcze ubranie myśliwskie zaczerwieniła krew, buchająca z olbrzymiej rany.

Ludzie się zbiegli. Rannego przeniesiono do pałacu i położono na nieposłanem dotąd łóżku, w którem spędził noc dzisiejszą. Zawezwano lekarza, mieszkającego w jednej z oficyn za parkiem. Wielohradzki nie mówił nic, nie jęczał nawet... czuł, że z upływającą krwią i życie zeń ucieka powoli, a jednak w słabnącej jego pamięci rysował się i barwił nieustannie obraz mordu, popełnionego w Sielance. Naprzód wyraźny, zatracał następnie kontury i farby, przemieniając się w gęstą mgłę szarą, coraz bledszą... coraz bledszą... a jednak nieprzejrzystą... napełniającą pokój... spadającą mu ze stropu na twarz i ciało... obejmującą je chłodem wilgotnym... otulającą jakby olbrzymim, miękkim całunem. W mgle tej tonęły i rozpływały się: wrażenia wzroku i myśli... pamięć... czucie... wreszcie dusza.

Gdy doktór nadszedł, mógł już tylko skonstatować śmierć. Mieczysław hrabia Wielohradzki nie żył.

* * *

Tegoż samego dnia w Marcelinie, również o świcie, Karol — wygrawszy w nocy parę tysięcy rubli w bakarata — wsiadał do czekającej nań dwukonnej dorożki. Suto widocznie uraczony ajent kiwał się już w niej od kilku minut, zmorzony snem pijackim.

Przed bramą stał starzec wysoki, chudy, strasznie blady, z rozwiewającym się nad czołem siwym włosem. Sięgnął do kieszeni po rewolwer.

Młody Wielohradzki, który go nie spostrzegł, stojąc w powozie nachylił się do ucha stangreta, żeby mu powiedzieć adres, pod jaki ma go odwieść. Wtem padł strzał... Karol, trafiony w serce, zwalił się na siedzenie obok śpiącego ajenta. Konie przerażone poniosły dorożkę w stronę rogatki Belwederskiej.



Karol powalił się na siedzenie obok śpiącego agenta.

Rozległ się drugi strzał... Siwy starzec na szosie, pokrytej gęstą kurzawą, oddawał Bogu ducha w ostatnim dreszczu konania.

* * *

Pogrzeb obu Wielohradzkich odbył się równocześnie w Warszawie na trzeci dzień po opisanych wyżej wypadkach. Za dwoma karawanami pierwszej klasy postępowali: baron Korf i jego blada żona, odziana w grubą żałobę. Dalej szli jej krewni, reprezentanci najznakomitszych rodzin arystokratycznych w kraju. W tym świetnym orszaku brakło tylko ciotki Dulskiej, która dla uniknięcia przykrych wrażeń i zmęczenia, jakie zwykł wywoływać wspaniały pogrzeb, zaraz po otrzymaniu wiadomości o śmierci ojca i syna, wyjechała do Deauville jak twierdzono: „z polecenia lekarzy“.

Zwłoki nieboszczyków spoczęły w grobowcu familijnym na Powązkach. Żałobni uczestnicy pochodu rozmawiali z sobą o dziwnym zbiegu okoliczności, który sprawił, że jednego i tegoż samego dnia, niemal o tejże samej godzinie i minucie, wśród faktów nie pozbawionych cech groźnego tragizmu, zginęli tak marnie dwaj ostatni dziedzice wielkiej, prawie historycznej tradycyi. Ten i ów wspomniał wprawdzie po cichu, że właśnie ci ostatni dopiero sprzeniewierzyli się haniebnie onej zacnej tradycyi i niejedną plamą skalali słynne niegdyś nazwisko, nikomu jednak nie przyszło na myśl przypisać ich zgonu wyrokom wyższej sprawiedliwości, karzącej najskryciej utajone występki i zbrodnie.

VII.

Na południe!

W dwa dni potem baron Korf zawiózł żonę do Miłosny. Tam spędziła lato w wygodnym białym domku, kryjącym się w gęstwinie ładnego ogrodu, otoczonego wokoło lasem. Mąż czuwał nad nią pieczołowicie, przyjeżdżając niemal codziennie i okazując jej ciągle głęboki szacunek. Krewni i znajomi odwiedzali ich tu kiedy niekiedy, zwłaszcza panie, które czasem zwracały niby od niechcenia uwagę na stan Zofii, ona jednak — rumieniąc się — wnet o tem przerywała rozmowę.

Na początku jesieni wrócić musiała do Warszawy, a w najbliższym im świecie rozniosła się puszczona w bieg dyskretnie pogłoska, że młoda baronowa Korf przyjmować czas jakiś nie będzie, bo nie pozwala jej na to zdrowie. Korfowi — którego widywano w biurze, na giełdzie i w mieście — składano z tego powodu powinszowania, które on przyjmował bez najlżejszego zmieszania, z powagą i spokojem. Wiedział dobrze, że zdąża powoli, lecz pewnie do wytkniętego sobie z góry celu. W końcu listopada zawiadomił żonę, że pojadą na Południe, wichry bowiem północne i częste przymrozki zapowiadają w kraju bardzo srogą zimę.

— A co będzie z twoimi interesami? — pytała Zofia.

— Nie myślę o interesach, gdy chodzi o ciebie — odparł tonem pełnym życzliwości. — Czyż zresztą nie podzielasz mego zdania, że dziecię twoje nie w Warszawie przyjść powinno na świat?

Pierwszy to raz po upływie kilku miesięcy mówił Korf o przyszłem macierzyństwie żony. Zofii krew uderzyła do głowy, więc jąkając się szepnęła:

— Tak... masz słuszność... wyjedziemy kiedy zechcesz... i kiedy każesz.

W tej chwili przyszło jej na myśl, jaki skandal wywołać mogło w złośliwem, wyższem towarzystwie warszawskiem zestawienie daty jej ślubu z dniem, w którym zostanie matką. Zrozumiała, że baron urządza wszystko w sposób, chroniący ją od wszelkich podejrzeń, mogących szkodzić jej dobrej sławie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

O polską szkołę.

Z jakiemi trudnościami walczyć muszą Polacy na austryackim Śląsku, ten tylko wie, kto, podobnie jak piszący te słowa, spędził długie lata między Ślązakami. Prócz szowinizmu niemieckiego, występującego wobec Słowian wogóle wprost brutalnie, ma się jeszcze do walczenia na każdym kroku i z naszymi pobratymcami, Czechami, którzy w zaślepieniu narodowem odmawiają Polakom prawa uczenia dzieci w swym ojczystym języku. Że Niemcy prześladują Polaków na każdym kroku, toć to zrozumiałe, tu powód leży w rasowej nienawiści obu szczepów, ale dziwić się trzeba czeskiemu bezmyślnemu szowinizmowi, choć i Czesi są przecież na Śląsku ze strony Niemców w tem samem, co i my położeniu.

Walkę o szkołę polską toczy lud śląski coraz energiczniej, a dzielnie mu w tem pomaga partya socyalno - demokratyczna. W dniu 30. sierpnia b. r. odbył się w Morawskiej Ostrawie tłumny wiec ludowy przy udziale przeszło czterech tysięcy robotników z miasta i okolicy. Wobec tej masy polskiego ludu — zbladły i znikły nierozumne napaści obconarodowych i pobratymczych szowinistów. Celem wiecu było powzięcie uchwał w sprawie polskich szkół. Zgromadzeniu przewodniczył redaktor Jarosz, a za polską szkołą dla polskich dzieci przemawiał poseł Daszyński, który wezwał obecnych, aby swoje dzieci posyłali tylko do polskich szkół. Socyalista czeski Prokesz oraz niemiecki Siegl oświadczyli imieniem swoich stronnictw, że będą zawsze popierali walkę polskiego ludu o polskie szkoły. Uchwalono dwie rezolucye: 1) z wezwaniem do rady miasta Ostrawy, aby wybudowała publiczną szkołę dla Polaków, 2) do Wydziału krajowego śląskiego, by zajął się szkolnictwem polskiem na Śląsku i polecił wybudować odpowiednią ilość polskich szkół.

Mimo strugami lejącego deszczu zgromadzeni wytrwali do końca, poczem po jednogłośnem przyjęciu rezolucyi, odfotografowano wiecowników na dowód, jak imponująco wiec wypadł.



O polską szkołę: Manifestacya polskich robotników w ulicach Morawskiej Ostrawy.

Królewiacy w Londynie.

W chwili, gdy hasło: bojkotujmy przemysł pruski! z pustych słów zaczyna się w czyn przeradzać, doniosłe bardzo znaczenie ma dla polskiego handlu i przemysłu wycieczka polskich przemysłowców z Warszawy i Łodzi do Londynu. Bierze w niej udział 63 najpoważniejszych przedstawicieli polskiego przemysłu w Królestwie Polskiem, że wspomnimy tylko nazwiska pp. Gracyana Ungra i Makowskiego, a towarzyszy im także kilka pań. Celem wycieczki jest poznanie Londynu i nawiązanie handlowych stosunków z Albionem, aby w ten sposób wyrugować z Królestwa wytwory pruskiego przemysłu, a zastąpić je angielskimi.

Po przybyciu do Londynu polscy goście zebrali się w Royal-Hotelu i wybrali przewodniczącym p. Edwarda Makowskiego. Tego samego dnia przed południem zjawili się w wielkiej sali hotelowej przedstawiciele londyńskiej Izby handlowej z p. Morganem na czele, który serdeczną przemową, wygłoszoną w języku francuskim, powitał przybyłych, prosząc o informacye, jakie artykuły przemysłowe każdego z uczestników interesują. Z przemowy p. Morgana dowiedzieli się Polacy, że przed niedawnym czasem powstał za inicyatywą ministra Stołypina projekt nawiązania jak najszczerszego i najszerszego stosunku handlowego z Rosyą. Zrealizowanie tego projektu doszło też w tych dniach do skutku pod nazwiskiem: Rosyjsko-polska sekcya handlu i przemysłu.



O polską szkołę: Wiec polskich robotników w Morawskiej Ostrawie.



Manifestacya polska na Sląsku: Wielki wiec polskiej ludności w Cieszynie.

Anglicy ofiarowali uczestnikom bilety na odbywającą się w Londynie wystawę węgierską, a wręczywszy im programy na cały tydzień, zredagowane w języku angielskim i polskim, oświadczyli także gotowość służenia objaśnieniami przy zwiedzaniu osobliwości, których tu nie braknie. Uprzejmą propozycyę przyjęli goście z wdzięcznością. W sali hotelu Royal odbył się następnie obiad, podczas którego pan Morgan zaznaczył dobitnie, że Anglicy spodziewają się, iż Polacy, którzy są głównymi pośrednikami handlowymi z Rosyą, będą się starali zaopatrywać rynki rosyjskie w artykuły wytworu angielskiego, o wiele przewyższające swą jakością pruską tandetę.

Następnego dnia odbyło się uroczyste przyjęcie w Izbie handlowej, gdzie podczas śniadania serdecznie witano polskich gości, wspominając o sympatyi, łączącej oba narody i życząc sobie obopólnie nawiązania jak najtrwalszych stosunków handlowych. W czasie kilkunastodniowego pobytu Polaków w Londynie nawiązano też liczne handlowe transakcye, aby przemysł polski w Królestwie wyemancypować z pod dotychczasowego wpływu niemieckiego. Wogóle w czasie całego pobytu polskich gości nad Tamizą panował jak najserdeczniejszy nastrój.

Rycina nasza przedstawia polskich wycieczkowców wraz z Anglikami gospodarzami wedle sporządzonego przez jednego z uczestników zdjęcia fotograficznego.

Manifestacya polska na Sląsku.

W niedzielę dnia 6 września przybrał Cieszyn odświętną, wspaniałą szatę. Ulice i place miasta zaroiły się tysiącznym ludem polskim ze wszystkich stron Śląska cieszyńskiego, a ten niemiecki Cieszyn tak skarlał, znikł prawie z powierzchni ziemi, że choćbyś wtedy chciał widzieć Niemca, tobyś go ani na lekarstwo nie znalazł.

A te ogromne rzesze, ustawiwszy się w pochód, szły przez rynek i główne ulice miasta poważnie i z nastrojem, nieznanym u Niemców, aż hen na wzgórek, gdzie stanąć ma polskie seminaryum nauczycielskie. Po przybyciu rozpoczęły się obrady, którym przewodniczył poseł sejmowy p. Halfar. Pierwszy odczyt wygłosił Dr. Dybowski, mówiąc o 25-letnim jubileuszu Związku śląskich katolików i nawiązując do schodzących się w b. r. jubileuszów cesarza i papieża. Po nim przemawiał z wielkiem zacięciem młody rolnik z pod Cieszyna p. Junga o potrzebach rolników, a następnie p. Bura, robotnik z Karwiny, o potrzebach stanu robotniczego.

Na samym końcu przemówił poseł do Rady Państwa ks. dr. Londzin, witany burzą oklasków, o położeniu ludności polskiej w księstwie cieszyńskiem, a wskazując na upośledzenie tejże, wzywał do walki o równouprawnienie.

Po uchwaleniu odnośnych do referatów rezolucyi, wśród huku wystrzałów moździerzowych odśpiewano na zakończenie „Serdeczna Matko“ i „Jeszcze Polska nie zginęła“ — wśród ogromnego zapału zgromadzonych.

Wiec ten ma ogromne znaczenie w dziejach walki o prawa narodowe na Śląsku. Był on nietylko dla samego stronnictwa polsko-katolickiego przeglądem sił własnych — ale był zarazem objawem siły i solidarności polskiej w oczach Niemców, którzy musieli ogarniać okiem te nieprzejrzane tłumy ludu polskiego, owiane jedną myślą i jedną wolą czynu, które nie pójdą w każdym razie z nimi w jednym szeregu, lecz przeciw nim.

To też trudy, jakich podjęli się pracownicy narodowi, a przedewszystkiem niezmordowany w pracy ks. Londzin, niczem są wobec owoców, jakie wiec ten wyda.

W niniejszym numerze zamieszczamy dwa zdjęcia fotograficzne, przedstawiające wiec i pochód demonstracyjny w Cieszynie.



Zgon polskiego muzyka

Zgon polskiego muzyka.

Na obczyźnie i wśród obcych, w stolicy Saksonii, w Dreznie, zmarł niedawno jeden z młodszych, ale



Wycieczka polska w Pradze: Uczestnicy wyciec

bardzo cenionych muzyków polskich, Maksymilian Lewinger, znakomity skrzypek-wirtuoz.

Ś. p. Lewinger urodził się 1870 r. w Sułkowicach pod Krakowem i tu kształcił się przez szereg lat w muzyce. — Następnie bawił we Lwowie i pod okiem znanego profesora Wolfsthala studya uzupełniał, pracując jednocześnie jako pierwszy skrzypek w lwowskiej orkiestrze operowej. — Następnie wyjechał zagranicę celem pogłębienia swego wykształcenia, bawił przez czas jakiś w Wiedniu, a następnie w Berlinie. Tu dał się poznać jako znakomity wirtuoz w koncertach berlińskiej orkiestry filharmonicznej, której był koncertmistrzem. — Wnet potem przeniósł się do Bukaresztu, gdzie przez trzy lata zajmował stanowisko profesora konserwatoryum, następnie bawił w Helsingforsie i Lipsku, a od 1899 r. w Dreznie, jako królewski nadworny koncertmistrz.



: Śp. Maksymilian Lewinger.

Ś. p. Lewinger nie należał wprawdzie do gwiazd błyskotliwych na horyzoncie muzycznym, nie zbierał laurów i oklasków na koncertach w całym świecie, niemniej jednak cieszył się opinią niezrównanego i prawdziwie utalentowanego skrzypka, którego gra wywierała głębokie, niezatarte wrażenie. To też świat muzyczny poniósł przez śmierć Maksymiliana Lewingera bardzo ciężką stratę — poniosła ją też polska muzyka.



Manifestacya polska na Sląsku: Pochód demonstracyjny polskiej ludności na wiec.

Wycieczka polska w Pradze.

Z inicyatywy organizacyi VI. okręgu wyborczego m. Lwowa urządzona została w ubiegłym tygodniu wielka wycieczka polska do Pragi, celem zwiedzenia pięknej stolicy Czech i wspaniałej wystawy jubileuszowej. Wycieczkę zorganizowano doskonale, to też udział w niej wzięło przeszło 500 osób, przeważnie ze Lwowa.

Po 32 godzinnej jeździe koleją stanęli wycieczkowcy w niedzielę rano w Pradze i tam rozlokowali się w przygotowanych kwaterach. Mimo zmęczenia długą jazdą rozpoczęto niezwłocznie zwiedzanie miasta, a na wstępie udano się gremialnie do wiceburmistrza Winohrad Buresza, aby mu podziękować za kwatery dla wycieczkowców. Następnie ruszono pod dom Palacky'ego, a potem na cmentarz wyszehradzki, celem uczczenia pamięci zmarłego niedawno przyjaciela Polaków, śp. Jellinka, stamtąd zaś do wiceburmistrza Pragi Jirouszka.

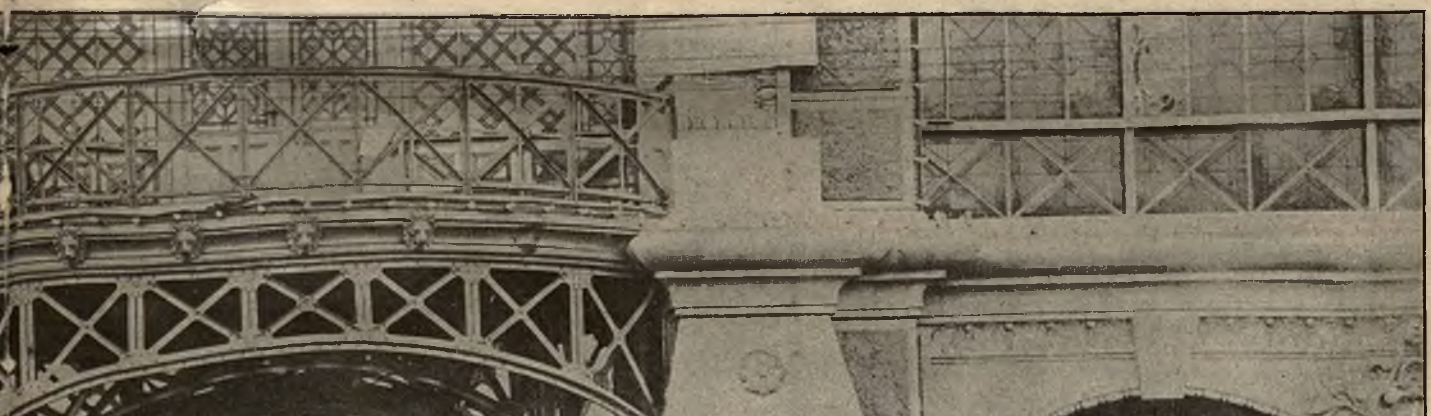
Oficyalne powitanie uczestników wycieczki odbyło się na wyspie strzeleckiej w czasie wspólnego obiadu. Rozpoczął powitalne mowy imieniem polskiego klubu w Pradze p. Towarnicki, zapewniając gości, że nietylko Polacy, przebywający stale w Pradze, ale i Czesi witają ich serdecznie i szczerze. Wśród szeregu dalszych przemówień wyróżnił się toast znanego dziennikarza i działacza czeskiego p. Rozwody, wygłoszony w języku polskim. Po obiedzie wycieczkowcy się rozprószyli, część mianowicie poszła zwiedzać miasto, część udała się na wystawę, a inni do teatrów, „Narodnego Divadla“ i na Winohradach.

Natomiast dzień następny poświęcono wyłącznie zwiedzaniu wystawy, gdzie wycieczkę powitali prezes komitetu p. Bondy i sekretarz dr. Hlavaczek. Na powitanie odpowiedział imieniem przybyłych prezes komitetu wycieczki p. Mieczysław Zadora Paszkudzki.

Wystawa, o której już w swoim czasie pisaliśmy, zachwyciła zwiedzających. Niezmiernie podobała się też illuminacya tysiącem lampek elektrycznych różnobarwnych.

Także następnego dnia poświęcono sporo czasu na zwiedzanie pawilonów, a że Czesi oraz grono miejscowych Polaków oprowadzali wycieczkowców i udzielali im wyjaśnień, więc korzyść odniesiono stąd dużą.

Podczas wspólnego obiadu w trzecim, ostatnim dniu pobytu w Pradze, podniósł dziennikarz Rozwoda myśl założenia sekretaryatu polsko-czeskiego, celem systematycznego popierania stosunków między Polakami i Czechami oraz pośredniczenia w sprawach ekonomicznych i kulturalnych. Myśl ta została



:i przed głównym pawilonem na wystawie w Pradze.



Muzułmanin oficerem austryackiej artyleryi.
Porucznik Hussein Bey Biscevic

przez obecnych przyjęta bardzo życzliwie i poczyniono zaraz kroki, celem wprowadzenia jej w życie.

We wtorek wieczór opuścili wycieczkowcy Pragę, przez środę zatrzymali się w Wiedniu, a w końcu zabawili w Jarosławiu kilka godzin, gdzie zwiedzali skromną ale naszą wystawę rolniczo-przemysłową.

Muzułmanin oficerem austryackiej artyleryi.

Powszechne zainteresowanie budzi w Wiedniu młody porucznik artyleryi, który zamiast oficerskiej czapki nosi turecki fez. Jest to świeżo posunięty na stopień porucznika Hussein Bey Biscevic, syn jednego z bośniackich notablów, Dericha Bey Biscevica, zdeklarowanego zwolennika obecnego porządku rzeczy na półwyspie bałkańskim. Dziadek porucznika, wierny poddany padyszacha, przypłacił życiem swe uczucia wiernopoddańcze dla pierwotnego władcy, gdyż w czasie okupacyi Bośni i Hercegowiny wyrokiem sądu wojennego skazany został na śmierć. Syn jego, a ojciec porucznika, który wtedy liczył lat dziewiętnaście, pogodził się ze zmienionymi stosunkami i z fanatycznego muzułmanina stał się stronnikiem nowego rządu do tego stopnia, że pozwolił nawet swemu synowi, Husseinowi, wstąpić do austryackiej szkoły kadeckiej. Ponieważ obyczaje mahometańskie nie pozwalają prawowiernym wyznawcom Islamu na noszenie innego nakrycia głow[illegible] biono wyjątek i nowomianowanemu porucznikowi pozwolono nosić czerwony fez zamiast przepisanej oficerskiej czapki, co obok sympatycznej a wybitne cechy wschodnio mającej postaci młodego oficera, zwraca na niego ogólną we Wiedniu uwagę.

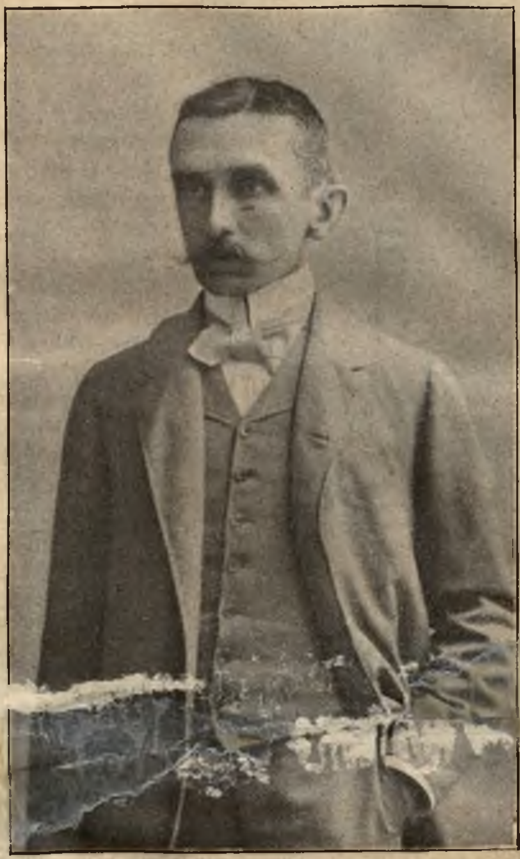
Jest to pierwszy Muzułmanin, który w armii austryackiej osiągnął stopień oficerski.

Zgon profesora politechniki.

Nauka polska poniosła znowu dotkliwą stratę przez śmierć przedwczesną jednego z wybitnych polskich ekonomistów, śp. prof. Władysława Pilata.

Śp. dr. Władysław Pilat, pochodzący z rodziny wielce około polskiej nauki zasłużonej, najmłodszy brat śp. Romana, profesora literatury polskiej i dr. Tadeusza, b. profesora uniwersytetu lwowskiego a obecnie prezesa Wydziału krajowego, poświęcił się śladem swych braci studyom naukowym, pracując głównie nad ekonomią i socyologią. Owocem jego wieloletniej pracy są liczne większe i mniejsze studya, ogłaszane drukiem a odznaczające się zarówno gruntowną znajomością przedmiotu, jak jasnością i przejrzystością wykładu.

Jako pedagog zostawia po sobie też pamięć jak najlepszą. Był mianowicie zwyczajnym profe-



Zgon profesora politechniki:
S. p. prof. dr. Władysław Pilat.

sorem ekonomii politycznej na politechnice we Lwowie a docentem tego przedmiotu na uniwersytecie lwowskim.

Zgon więc śp. Władysława Pilata okrywa żałobą nietylko rodzinę jego, ale i oba te zakłady naukowe. A boleśniejszą i dotkliwszą jest strata ta o tyle, iż uczony ten zmarł w młodym wieku, bo w 51 zaledwie roku życia, w wieku zatem, kiedy mógł jeszcze wiele dla dobra i rozwoju nauki polskiej zdziałać.

Cześć jego pamięci!



Królewiacy w Londynie: Grupa przemysłowców i kupców z Warszawy i Łodzi, przed gmachem giełdy w Londynie.

Włamywacz Gentleman.

PRZYGODY ZBRODNIARZA.

przez Maurycego Leblanc.

8 (Ciąg dalszy).

Chwilowe milczenie zapanowało po tem oświadczeniu.

Poczem pan Valorbe poprosił, aby go zaprowadzono do mieszkania Henryki.

Zastano ją przy szyciu, podczas gdy synek jej Raul, sześcio- lub siedmioletni chłopak, czytał obok niej. Nieco zdziwiony, że pomieszczono ją w tak nędznem mieszkaniu, składającem się zaledwie z małego pokoiku bez pieca i skrytki, służącej za kuchnię, komisarz zwrócił się do niej z pytaniami. Zdawała się być wzburzona do głębi, dowiadując się o popełnionej kradzieży. Wczoraj wieczorem ubierała hrabinę i sama zapięła naszyjnik na jej szyi.

— Panie Boże! — wykrzyknęła — ktoby to mógł powiedzieć?

— I pani nic nie przypuszczasz? Nic na myśl pani nie przychodzi? Może jednak złoczyńca mógł przejść tedy?

Zaśmiała się szczerze, nie przypuszczając nawet, że można byłoby ją podejrzywać.

— Ależ ja nie wychodziłam z pokoju! nie wychodzę nigdy. A zresztą, czyż pan nie widziałeś?...

Otwarła okno kuchenki.

— Proszę popatrzeć, blisko trzy metry do tamtego okna.

— Któż pani powiedział, że podejrzywamy, iż kradzież popełniono tędy?

— Ale... czyż naszyjnik nie był tam, w alkowie!

— Skąd pani wie o tem?

— Mój Boże... wiedziałam, że tam go zawsze na noc chowają... mówiono o tem przy mnie...

Na twarzy jej, młodej jeszcze, którą jednak smutek uczynił zwiędłą przedwcześnie, malowała się słodycz i rezygnacya. Nagle wszakże w chwili ciszy po tysach jej przemknął wyraz męki, jakby odczuła grożące jej niebezpieczeństwo. Przytuliła synka do siebie. Dziecię wzięło jej rękę i czule ucałowało.

Kiedy znaleźli się już sami, pan de Dreux rzekł do komisarza:

— Nie przypuszczam wszakże, abyś ją pan podejrzywał? Mogę odpowiadać za nią. To uczciwość chodząca.

— O, jestem zupełnie tego samego przekonania — potwierdził pan Valorbe. — Co najwyżej przypuszczałbym współwinę bezwiedną. Ale przychodzę do przekonania, że i to przypuszczenie porzucić musimy, tembardziej, że nie rozwiązuje nam dokładnie kwestyi, o którą ustawicznie się potykamy.

Komisarz nie dodał nic do śledztwa, które dni następnych sędzia śledczy wdrożył i rozwinął. Przepytywano służących, sprawdzano całość zamków, robiono próby z otwieraniem i zamykaniem okna alkowy, zbadano kurtażyk od góry do dołu... Wszystko było naprożno. Zamki były nienaruszone, okno ani się nie otwierało, ani zamykało z zewnątrz.

Szczególną jednak uwagę zwrócono na Henrykę, bo pomimo wszystko ciągle powracano do niej. Przejrzano wszystkie najdrobniejsze szczegóły jej życia; okazało się przytem, że w ciągu trzech lat wychodziła z domu nie więcej jak cztery razy i to każdorazowo można było określić dokładnie cel wyjścia. W rzeczywistości spełniała funkcyę pokojowej i szwaczki u pani de Dreux, która według zeznań poufnych wszystkich służących obchodziła się z nią bardzo surowo.

— Zresztą — mówił sędzia śledczy, który po tygodniu poszukiwań przyszedł do tych samych wniosków, co komisarz — przypuśćmy nawet, że mamy winowajcę, a nie mamy go wcale, to jeszcze nie wiemy, w jaki sposób kradzież spełnioną została. Z obu stron stoją przed nami dwie przeszkody: zamknięte drzwi i zamknięte okno. Jak można wejść i, co jest o wiele trudniej, jak można wymknąć się, pozostawiając za sobą drzwi zamknięte na zamek i zabarykadowane okno?

Cztery miesiące ciągnęło się śledztwo. W końcu czwartego miesiąca wewnętrzne przekonanie sędziego streściło się w następnym wnioskn: państwo de Dreux w chwili nagłej potrzeby — a potrzeby ich były ogromne — sprzedali naszyjnik królowej. I na tem zamknął sprawę.

* * *

Strata drogocennego klejnotu była dla państwa de Dreux Soubise ciosem, który na długi czas byt ich podkopał.

Skarb ten przedstawiał w sobie pewnego rodzaju kapitał zapasowy, na którym do pewnego stopnia kredyt ich się opierał; obecnie wierzyciele stali się bardziej wymagający, a zaciągnąć pożyczkę było coraz trudniej. Trzeba było przystąpić do ostateczności: wysprzedawać, hypotekować. Jednem słowem doszłoby do zupełnej ruiny, gdyby nie uratowały ich niespodzianie dwa znaczne spadki po dalekich krewnych.

Państwo de Dreux byli tak upokorzeni w swej dumie, jakby im ubyło połowę ich szlachectwa. I co szczególniejsze, hrabina całe swe nieszczęście przypisywała dawnej swojej koleżance z pensyi. Czuła do niej głęboką urazę i otwarcie ją oskarżała.

Zaraz po wypadku kazała przenieść ją na piętro służących, później zupełnie wyprawiła ją z domu.

I życie popłynęło dalej bez szczególniejszych zdarzeń. Państwo de Dreux podróżowali dużo. Zaznaczyć tu tylko należy jeden drobny wypadek. W kilka miesięcy po odjeździe Henryki hrabina otrzymała list, który w wielkie wprawił ją zdumienie.

„Pani Hrabino!

Nie wiem, jak mam dziękować. Bo wszakże pani przysłała mi to wszystko? Nikt to inny być nie może, tylko pani. Nikt inny nie wie o mojem schronieniu w tej małej mieścinie. Jeśli się mylę, racz pani wybaczyć i proszę przyjąć wyrazy wdzięczności chociaż za to, co wyświadczyłaś mi pani pierwej...“

Co to miało znaczyć? To, co hrabina świadczyła dla niej teraz lub pierwej, streszczać się mogło tylko w steku niesprawiedliwości względem niej popełnionych. Co zatem znaczyły te podziękowania?

Naglona o wyjaśnienie Henryka odpisała, że otrzymała z poczty pakiet nieopłacony, nawet nie polecony, zawierający dwa bilety po tysiąc franków każdy. Na dowód dołączyła kopertę, na której znajdował się stempel pocztowy z Paryża i tylko jej adres, skreślony pismem widocznie podrabianem.

Skąd pochodziły te dwa tysiące franków? Kto mógł je przysłać? I dlaczego je przysłano? Możeby śledztwo co wykryło, ale na jaki ślad w tych ciemnościach trafić można?

Za rok powtórzyło się to samo. I po raz trzeci jeszcze, i po raz czwarty. Przez sześć lat przesyłka powtarzała się co roku, z tą różnicą, że piątego i szóstego roku sumę podwojono, tak że Henryka, która mocno podupadła na zdrowiu, mogła leczyć się i pielęgnować starannie.

I jeszcze jeden szczegół: kiedy raz zarząd pocztowy pod pretekstem nieprawidłowości nieopłaconej przesyłki pieniężnej zatrzymał pakiet, dwa ostatnie pakiety były już wysłane zupełnie prawidłowo — jeden z Saint-Germain, drugi z Suresne. Nadawca podpisał się na pierwszym jako Anquety, na drugim jako Péchard. Oba podane adresy były fałszywe.

Po upływie sześciu lat Henryka umarła. Zagadka pozostała nierozwiązaną.

* * *

Wypadki te znane są publiczności. Była to jedna z tych spraw, które roznamiętniają opinię publiczną. Zaiste dziwnym był los naszyjnika; w końcu ośmnastego stulecia sprawa jego wzburzała całą Francyę, w sto lat później powtórzyło się to samo. Jednak to, co chcę tu powiedzieć, nieznanem jest nikomu z wyjątkiem najbliżej zainteresowanych i jeszcze kilku osób, których hrabia prosił o najściślejszą tajemnicę. Ponieważ jednak jest do przewidzenia, że prędzej czy później obietnica dotrzymaną nie będzie, niemam przeto żadnego skrupułu uchylić zasłony; tym sposobem znajdzie się zarówno jak słowo całej tej zagadki wyjaśnienie listu, podanego przez onegdajsze dzienniki, listu niezwykłego, który dodał, jeśli to możebne, więcej jeszcze cienia i tajemniczości niezgłębionym ciemnościom całego dramatu.

Było to przed pięciu dniami. W liczbie gości, zaproszonych na śniadanie do państwa de Dreux-Soubise, znalazły się dwie jego synowice i kuzynka, a z panów: prezes d'Essaville, deputowany Bochas, kawaler de Floriani, którego hrabia poznał w Sycylii, i generał markiz de Rouzières, stary towarzysz zwykłego ich kółka.

Po śniadaniu panie zasiadły do kawy, a panowie otrzymali pozwolenie na wypalenie papierosa pod warunkiem, że nie wymkną się z salonu. Rozmawiano. Jedna z panien zabrała się do kart i rozłożyła kabałę. Potem rozmowa zeszła na niezwykłe zbrodnie. I tu pan de Rouzières, który nigdy nie opuścił sposobności ukłucia hrabiego, przypomniał wydarzenie z naszyjnikiem — temat rozmowy, którego hrabia zawsze najstaranniej unikał...

Zaraz każdy wystąpił ze swojem zdaniem. Każdy na swój sposób wyciągał wnioski. Naturalnie wszystkie przeczyły sobie wzajemnie, wszystkie były równie nieprawdopodobne.

— A jakie pańskie jest zdanie, panie Floriani? — spytała hrabina.

— Ja... ja nie mam tu żadnego zdania — odpowiedział.

Zaprzeczono żywo. Właśnie przed chwilą pan Floriani świetnie opowiadał o licznych wypadkach, w których jako syn wyższego urzędnika sądowego w Palermo, brał żywy udział, przyczem sąd jego i znawstwo rzeczy zaznaczyły się pochlebnie.

— Przyznaję — odrzekł — że powiodło mi się nieraz tam, gdzie najzręczniejsi się cofali... Ale to nie znaczy, abym uważał siebie za Sherlocka Holmesa... A zresztą, zaledwo wiem, o co tu idzie...

Wszyscy spojrzeli na gospodarza. Wbrew chęci musiał wyłuszczyć wszystkie dane całego wypadku. Pan Floriani wysłuchał, zamyślił się, zadał kilka pytań i wreszcie wyszeptał:

— To dziwne... Na pierwszy rzut oka nie wydaje mi się, aby rzecz tak bardzo trudną była do zbadania.

Hrabia wzruszył ramionami. Ale goście otoczyli już pana Floriani, a on mówił dalej nieco dogmatycznym tonem:

— Naogół chcąc wykryć sprawcę zbrodni lub kradzieży, należy przedewszystkiem zadać sobie pytanie, w jaki sposób zabójstwo, czy kradzież popełnione zostały? W wypadku obecnym rzecz jest, według mnie, bardzo prosta, bo znajdujemy się nie wobec wielu hypotez, lecz wobec pewności jedynej, silnej, która streszcza się w tych słowach: ten ktoś, kto wszedł, mógł wejść tylko przez drzwi od pokoju, albo przez okno. Drzwi, zamkniętych na zamek, nie można otworzyć z zewnątrz. A zatem wszedł przez okno.

— Okno było zamknięte i znaleziono je zamkniętem — oświadczył stanowczo pan de Dreux.

— Aby tego dokonać — ciągnął dalej Floriani, nie zważając na przerwę — trzeba tylko było ustawić most, deskę, czy drabinę, pomiędzy gankiem kuchennym a deską u okna, i skoro tylko pudełko...

— Ale powtarzam panu, okno było zamknięte! — wykrzyknął hrabia już zniecierpliwiony.

Tym razem Floriani musiał odpowiedzieć. Uczynił to z największym spokojem, jak człowiek, którego podobnie błahy zarzut nie miesza wcale.

— Chętnie wierzę, iż tak było, ale czyż nie znajdował się tam lufcik?

— Skąd to pan wie?

— Po pierwsze lufciki znajdują się niemal bez wyjątku we wszystkich domach tamtej epoki, powtóre, musiał być koniecznie, inaczej fakt kradzieży nie dałby się wytłómaczyć.

— Rzeczywiście lufcik jest, ale tak jak i okno, był zamknięty. Nawet nie zwrócono na niego uwagi.

— To źle. Bo gdyby zwrócono uwagę, spostrzeżonoby z łatwością, że był otwierany.

— Jakim sposobem?

— Przypuszczam, że tak jak i inne lufciki otwiera się zapomocą splecionego drutu, zaopatrzonego na końcu w kółko metalowe.

— Tak.

— I kółko to wisiało pomiędzy oknem a kufrem?

— Tak jest; ale nie rozumiem...

— Właśnie. Przez szparę, jaka często się zdarza między szybą a ramą, można było zapomocą jakiegoś narzędzia, przypuśćmy żelaznego haczyka, zaczepić kółko, pociągnąć w dół i otworzyć.

— Wybornie! Wybornie! — roześmiał się hrabia szyderczo — urządzasz pan wszystko bardzo łatwo! zapominasz pan tylko o jednej rzeczy, kochany panie, że nie było tam szpary, jaka często się zdarza.

— Była tam szpara.

— O, proszę! spostrzeżonoby ją.

— Aby spostrzedz, potrzeba patrzeć, a nie patrzano. Szpara istnieje; jest fizyczną niemożebnością, aby nie istniała... wzdłuż szyby, obok kitu... w kierunku pionowym naturalnie...

Hrabia podniósł się z krzesła. Zdawał się być niezwykle wzburzonym. Krokiem nerwowym przeszedł parę razy salon, wreszcie zatrzymując się przed Florianim, rzekł:

— Od owego dnia nic się tam nie zmieniło; nikt nogą nie postał w alkowie.

— W takim razie mógłbyś pan łatwo przekonać się, czy moje wywody zgadzają się rzeczywiście z prawdą.

— Nie zgadzają się z żadnym z faktów, które sądownictwo wykryło. Nic pan nie widziałeś, nic pan nie wiesz i przeczysz wszystkiemu, cośmy widzieli i słyszeli.

Floriani zdawał się wcale nie uważać rozdrażnienia hrabiego i odrzekł z uśmiechem:

— Mój Boże, staram się widzieć jasno i tyle. Jeśli się mylę, dowiedź mi pan błędu.

— Nie czekając dłużej... Przyznaję, że pewność, z jaką pan...

Wymówił jeszcze parę słów niewyraźnych i naraz podniósł się z krzesła, skierował się do drzwi i wyszedł.

Nie wyrzeczono ani słowa. Oczekiwano z natężeniem, jak gdyby istotnie jakaś cząsteczka prawdy miała się ukazać. I milczenie to posiadało wagę niezmierną.

Wreszcie na progu ukazał się hrabia. Blady był i niezwykle wzruszony. Głosem drżącym przemówił do zebranych:

— Proszę mi wybaczyć... Odkrycie pana Floriani jest tak nieoczekiwane... nie przypuszczałbym nigdy...

Żona zapytała go chciwie:

— Mów... błagam... coś tam znalazł?

Wyjąkał:

— Jest szpara... właśnie w miejscu, oznaczonem wzdłuż szyby...

Schwycił gwałtownie ramię Florianiego i głosem nakazującym zawołał:

— Mów pan... przekonałem się, że aż dotąd miałeś pan słuszność, a teraz... To jeszcze nie koniec... Opowiadaj pan, co według pana zaszło dalej?

Floriani wyswobodził delikatnie ramię i rzekł po chwili:

— Według mnie oto co zaszło. Ów ktoś, wiedząc, że pani hrabina poszła na bal w naszyjniku, podczas nieobecności państwa przystawił kładkę do okna. Stamtąd podpatrywał później i widział, jak pudełko z naszyjnikiem chowano. Skoro tylko wyszedłeś pan z alkowy, poderznął szybę i pociągnął za kółko.

— Dobrze, ale odległość była zbyt wielką, aby mógł przez lufcik dosięgnąć rączki okna.

— Jeśli nie mógł otworzyć okna, to wszedł przez lufcik.

— Niemożebne! Niema tak szczupłego mężczyzny, aby mógł wcisnąć się tamtędy.

— A zatem nie był to mężczyzna.

— Jakto?

— Z pewnością. Jeśli otwór za mały był dla mężczyzny, to mógł dobry być dla dziecka.

— Dla dziecka?

— Czy nie mówiłeś mi pan, że przyjaciółka państwa, Henryka, miała syna?

— W istocie... chłopak nazywał się Raul.

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa Raul popełnił kradzież.

— Jaki masz pan na to dowód?

— Jaki dowód?... Nie zabraknie dowodów... Naprzykład...

Zamilkł i zamyślił się na chwil kilka. Poczem ciągnął dalej:

— Naprzykład ta kładka... Niepodobna przypuścić, aby ją dziecko mogło skądś przynieść niespostrzeżenie. Musiało raczej spożytkować to, co było pod ręką. W tym zakamarku, gdzie Henryka miała swoją kuchenkę, znajdowały się chyba jakieś półki, na których zwykle umieszczają rondle?...

— Były dwie półki, jeśli się nie mylę.

— Należałoby przekonać się, czy półki te są przymocowane do drewnianych podpórek, wbitych w ścianę. W przeciwnym razie moglibyśmy sądzić, że dziecko zdjęło je ze ściany, a potem przycepiło jedne do drugiej. Dalej, możemy mniemać, że ponieważ jest ognisko, musi być także i haczyk do poprawiania ognia, i dziecko mogło go użyć do odemknięcia lufcika.

Nie wymówiwszy ani słowa, hrabia wyszedł z pokoju i tym razem zebrani nie czuli ani cienia tego niepokoju oczekiwania, jaki tak męczył ich pierwej. Wiedzieli, z całą pewnością, że przypuszczenia Florianiego będą nieomylne. Z tego człowieka biła pewność tak silna, że dowodzeń jego słuchano nie jak wniosków, które jedne z drugich rozwijał, lecz jak opowiadania o wypadkach, których autentyczność stwierdzić się da każdej chwili. Nikt się też nie zdziwił, gdy za powrotem hrabia oświadczył:

— Tak, to dziecko! z pewnością dziecko, wszystko tego dowodzi.

— Widziałeś pan półki... i haczyk?

— Widziałem... półki zdjęte są ze ściany... haczyk leży tam jeszcze obok.

Ale pani de Dreux-Soubise wykrzyknęła:

— To dziecko!... chcesz raczej powiedzieć: to matka. Henryka tylko tu winna... ona zmusiła syna...



Wreszcie na progu ukazał się hrabia.

— Nie — zaprzeczył Floriani — matka tu nic nie winna.

— Proszę! Mieszkali razem w jednym pokoju, dziecko nie mogło poruszyć się bez wiedzy matki.

— Mieszkali w jednym pokoju, ale wszystko to stało się w nocy, podczas gdy matka spała.

— A naszyjnik? znaleziono by go w rzeczach dziecinnych.

— Przepraszam! Chłopak wychodził często. Nawet tego samego ranka, kiedy zastano go obok pracującej matki, powrócił był ze szkoły; może policya, zamiast wyczerpywać wszystkie środki przeciw niewinnej matce, zrobiłaby lepiej, przeszukując w pulpicie dziecinnym wśród książek szkolnych.

— Przypuśćmy. Ale owe dwa tysiące franków, które Henryka co rok otrzymywała, czyż nie są najlepszym dowodem jej spólnictwa?

— Czy spólniczka dziękowałaby pani za pieniądze? A zresztą, czy nie miano jej ciągle na oku? A dziecko jest wolne, dziecko może zupełnie swobodnie pobiedz do sąsiedniego miasta, zobaczyć się z jakim handlarzem, za liche pieniądze ustąpić mu jeden brylant, dwa, według potrzeby... pod tym jedynie warunkiem, aby pieniądze zostały nadane z Paryża; a potem na rok przyszły zrobi się to samo.

Nieokreślony przymus zapanował nad zebranymi, nad gospodarzami zarówno, jak nad ich gośćmi. W całem zachowaniu się, w tonie słów Florianiego było coś innego jeszcze, niż pewność, która tak od samego początku drażniła hrabiego. Była to ironia, raczej może nieżyczliwa, niż sympatyczna i przyjacielska, jakby to oczekiwać należało.

Hrabia usiłował zaśmiać się.

— Wszystko to bardzo dowcipne, zachwyca mnie, można powinszować... Co za żywość wyobraźni!

— Ależ nie, nie! — zupełnie poważnie zaprzeczył Floriani. — Ja nie wymyślam, ja tylko przedstawiam te okoliczności, które nieuniknienie musiały być takiemi, jak je podaję.

— Skąd pan wie o nich.

— Pan sam mi je podsuwasz. Przedstawiam sobie życie matki i dziecka tam, w tej wioszczynie zapadłej; choroba matki, pomysły i wybiegi dziecka, aby sprzedać klejnoty, uratować życie matki, lub chociaż osłodzić ostatnie jej chwile. Ale choroba zwycięża. Matka umiera. Lata całe przechodzą. Chłopak wzrasta, staje się mężczyzną. I wówczas, powiedzmy tym razem, że wyobraźnia mnie unosi — człowiek ten uczuwa żywą potrzebę powrotu do miejsca, gdzie upłynęło jego dzieciństwo. Wraca; odnajduje tych, którzy podejrzywali, którzy obwinili jego matkę... Możecie sobie państwo przedstawić tę chwilę najwyższego napięcia przy tem spotkaniu, tam, w tym starym domu, gdzie rozegrały się sceny całego tego dramatu.

Przez chwil kilka słowa te rozlegały się w naprężonej, niespokojnej ciszy. Na twarzach państwa de Dreux odbił się szalony wysiłek zrozumienia, a zarazem obawa i męka zrozumienia. Hrabia wyszeptał:

— Kto jesteś panie?

— Ja? Kawaler Floriani, którego spotkałeś pan w Palermo i zaprosiłeś do siebie tak uprzejmie i pokilkakrotnie.

— A więc cóż znaczy cała ta historya?

— Och, nic wcale! Poprostu żart z mej strony. Próbuję tylko przedstawić sobie radość syna Henryka — jeśli on jeszcze istnieje gdziekolwiek — radość, z jaką mógłby powiedzieć państwu, że on sam jeden winien wszystkiemu — a winien dlatego, że matka jego była nieszczęśliwą... nieszczęściem dla niej nawet była możność utraty miejsca... służącej, z czego jedynie utrzymywała siebie wraz z dzieckiem... I dziecko cierpiało, widząc matkę nieszczęśliwą.

Mówił z powstrzymywanem wzruszeniem, pochylony ku hrabinie, napół powstawszy z krzesła. Nie mogło być żadnej wątpliwości — był to syn Henryki. Floriani nie może być kim innym; jego zachowanie się, jego słowa — wszystko o tem świadczyło. Zresztą nie byłoż widocznem jego usiłowaniem, jego własną wolą, dać się poznać, jako syn Henryki?

* * *

Hrabia zawahał się. Jak ma postąpić z tym zuchwalcem? Zadzwonić? Wywołać skandal? Zdemaskować tego, który niegdyś go okradł? Ale to było już tak dawno! I ktoby zechciał uwierzyć w tę nieprawdopodobną historyę zbrodniczego dziecka? Nie, wypadało raczej poddać się okolicznościom, udać, że się nie rozumie prawdziwego stanu rzeczy. Hrabia zatem, podchodząc do Florianiego, zawołał z ożywieniem:

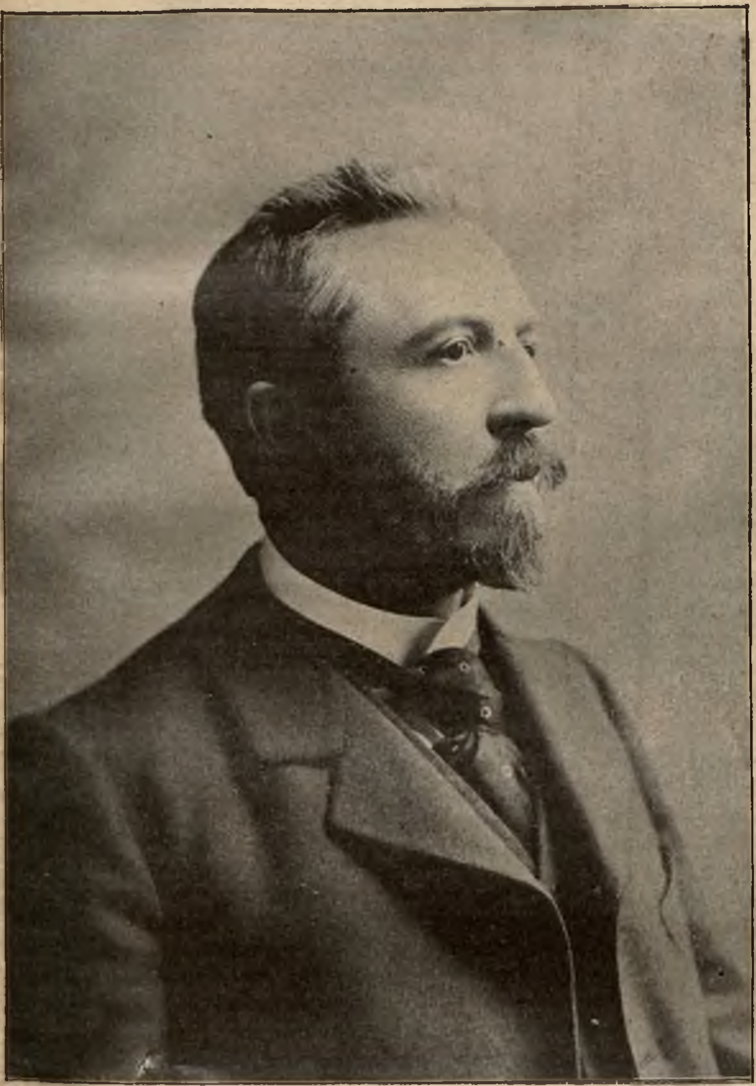
— Bardzo ciekawa, bardzo zabawna ta pańska historya! Zapewniam pana, mocno mnie zajęła. Ale, podług pana, cóż się stało z tym dobrym młodzieńcem, z tym wzorem synów? Spodziewam się, że nie zatrzymał się na tak pięknej drodze?

— O, z pewnością nie!

— Naturalnie! Taki wspaniały początek! Mając sześć lat zabrać naszyjnik królowej, sławny naszyjnik, którego tak pożądała królowa Marya-Antoanetta! (Ciąg dalszy nastąpi).

Nowy Sejm krajowy.

We wtorek tego tygodnia zebrał się na swe pierwsze posiedzenie nowowybrany krajowy Sejm galicyjski. A zebrał się i rozpoczął pracę wśród warunków zgoła niepomyślnych. Nad całym krajem



Nowy Sejm krajowy: Namiestnik dr. Michał Bobrzyński

unosi się po dziś dzień żałobne wspomnienie okrutnej zbrodni, której ofiarą padł zasłużony namiestnik Galicyi śp Andrzej hr. Potocki i tą ponurą marą utrudnia porozumienie między dwoma, kraj ten



Nowy Sejm krajowy: Marszałek Stanisław hr. Badeni.

zamieszkującymi narodami. Także straszna klęska ekonomiczna, która w tym roku kraj nasz prawie cały nawiedziła, przyczynia się w znacznej mierze do utrudnienia sytuacyi.

Niemniej oczy całego kraju patrzą z wytężoną uwagą na rozpoczynającą się sesyę sejmową, ponieważ program prac jest bardzo obszerny, a wśród nich jest szereg spraw niezmiernej doniosłości.

Na pierwszy plan wysuwają się zwłaszcza dwie kwestye: reforma sejmowej ordynacyi wyborczej i reforma ustawy gminnej, a w związku z tem reforma całego dotychczasowego ustroju administracyjnego w Galicyi. Już te dwie sprawy są tak skomplikowane, tyle wymagają trudów, aby je szczęśliwie rozwiązać, iż ich załatwienie zajmie bardzo wiele czasu. A przecież czeka na załatwienie jeszcze sprawa ustawy łowieckiej, ustawy wodnej i rybackiej, dwa budżety — i cały szereg pomniejszych, a jednak ważnych spraw.

Otwarcie Sejmu nowego miało charakter bardzo poważny i prawdziwie uroczysty.

Po nabożeństwach według obu obrządków, zebrali się posłowie w sali obrad Sejmu, poczem namiestnik dr. Bobrzyński oznajmił, iż rozporządzeniem monarchy marszałkiem kraju i przewodniczącym sejmu został mianowany ponownie Stanisław hr. Badeni, zastępcą zaś jego w przewodnictwie metropolita ks. Andrzej hr. Szeptycki.

Nastąpiły inauguracyjne mowy marszałka i namiestnika, mowy pełne głębokiej treści i wielkiego znaczenia. Podały one w ogólnych zarysach program pracy obu kierowników polityki krajowej. Posłowie słuchali z natężoną uwagą wzniosłych słów, oklaskując gorąco ważniejsze ustępy.

Największe jednak i prawdziwie głębokie wrażenie wywarła ta część przemówienia marszałka, którą poświęcił pamięci zamordowanego namiestnika. Wrażenie słów mowcy było widoczne, wszyscy posłowie stojąc słuchali ich w ciszy niczem niezamąconej.

Na wniosek Wojciecha hr. Dzieduszyckiego zamknięto też pierwsze posiedzenie zaraz po tej żałobnej manifestacyi na znak bólu i oburzenia z powodu zbrodniczego, niesłychanego w dziejach kraju, mordu.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy portrety marszałka kraju hr. Badeniego, zastępcy marszałka ks. A. Szeptyckiego, namiestnika dr. Bobrzyńskiego i komisarza rządowego hr. Łosia.

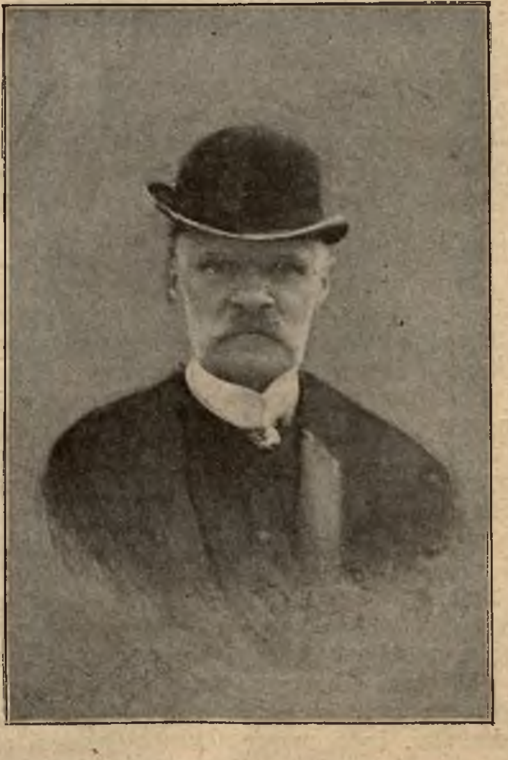
Minister defraudant.

Nielada figla spłatał swoim rodakom duński minister sprawiedliwości Alberti, który zamiast stać na straży praw, był sam pierwszorzędnym oszustem i defraudantem.

Jako minister cieszył się Alberti szczególniejszą życzliwością króla Fryderyka, a gdy w lipcu br. ze względu na nadwątlone zdrowie wniósł prośbę o dymisyę, król mianował go tajnym radcą z tytułem ekscelencyi. Jeszcze przed tygodniem brał on udział wraz z królem w dorocznej uroczystości Towarzystwa strzeleckiego i gdyby nie ostatni celny strzał króla, byłby Alberti został królem kurkowym. Tymczasem losy zrządziły inaczej! Ponieważ w dniu 9 września miała się odbyć w kasie budowy szczegółowa rewizya, a Alberti nie mógł pokryć braków, we wtorek popołudniu zgłosił się najspokojniej w świecie w urzędzie policyjnym, gdzie zdumionemu komisarzowi oświadczył, że jest oszustem i defraudantem na sumę około 15 milionów duńskich koron. Nie chciano początkowo wierzyć, sądzono, że ma się do czynienia z waryatem. Niestety, okazało się wkrótce, że mówił prawdę.

Z wielką jasnością i swobodą opowiadał Alberti o swych „operacyach“ finansowych i zużytkowaniu zdefraudowanych pieniędzy. Początek jego złodziejskiej karyery sięga czasów, gdy go wybrano kierownikiem banku ludowego. Wdał się wtedy w spekulacye, na których w krótkim czasie stracił miliony. Od tego czasu brnął coraz bardziej, łatając jak mógł nadszarpany kredyt, głównie krótkoterminowemi pożyczkami angielskiemi. Gdy w r. 1906 Anglia zamknęła mu kredyt, z defraudanta stał się zwyczajnym oszustem, podrabiając kwity depozytowe i spekulując równocześnie akcyami kopalni złota. Do dziennika swego *Danneberg* dołożył około 300 tysięcy koron, miał też wiele innych wydatków, prowadząc bardzo wystawne życie. Obecnie we więzieniu robi eks-minister rachunek sumienia i zestawia swoją działalność, aby ułatwić sędziemu śledczemu rozpatrzenie się w tej zawiłej sprawie. A przyznać trzeba, że na tem się zna doskonale, jako były szef departamentu sprawiedliwości.

Obecnie wychodzą na jaw i inne nadużycia, jakie popełnił, oraz protekcyjna gospodarka, która za jego rządów rozwielmożniła się w Danii, a wszystko celem przysporzenia sobie materyalnych ko-



Nowy Sejm krajowy: Komisarz rządowy Włodzimierz hr. Łoś.

rzyści. Że jednak przeczuwał, jaki go koniec spotka i już zawczasu starał się o pozyskanie względów zarządcy więzień, dowodem tego, że bez proszenia podwyższył mu płacę, a nadto kilkakrotnie zwiedzał cele więzienne i polecał dozorcom, aby się uprzejmie i łagodnie obchodzili z więźniami. Teraz na własnej skórze przekona się, czy polecenie jego wykonano!



Nowy Sejm krajowy: Zastępca marszałka ks. Andrzej hr. Szeptycki.

Jest to może dość ryzykowne. W każdym razie ta nadzwyczajna dbałość o los przyszły i o bezpieczeństwo jest niezmiernie oryginalna i rzuca charaktsrystyczne światło na postać ministra defraudanta.

Z TYGODNIA

(Rury wodociągowe a Kestranek. — Włosi naśladują Niemców. — Perfidya socyalistów. — Wybory w Bośni. — Minister-defraudant. — Sprawa marokkańska. — Wilhelm a Wilhelmina. — Humorysta Czecz. — Sejm. — Kwestya balonowa. — Bomba. Bojkot propinacyi a cholera).

Gdym się wziął do pisania kroniki obecnej, chciałem dać ujście mojemu natchnieniu przez rury wodociągowe, ale nie nasze, lecz praskie. Wprawdzie i nasze „rury“ potrzebują szerszego omówienia, ale przecież o nas, co obce, to lepsze. Los poszczęścił mi w tym wypadku, gdyż rury czeskie zrobiły przecie furorę światową, a nawet tak twardy pan, jak Kestranek musiał uznać, że przecież Czesi mają racyę. Wobec stałej czeskiej „rurowej“ obstrukcyi, musieli Niemcy uspokoić się nieco, ale bo wogóle jakoś niemieckie akcye zaczynają opadać. Stare, a znane odezwanie się Bismarcka: „Nie pójdziemy do Canossy“ znów znalazło praktyczną illustracyę w najświeższej uchwale kupców wiedeńskich, aby zrobić gremialną wycieczkę na wystawę do Pragi. Będzie to poniekąd pielgrzymka expiacyjna; Niemcy wiedeńscy wiedzą, jak ich Czesi kochają, czują, że na każdym kroku usuwa się im grunt z pod nóg, ale czegóż nie zrobi człowiek dla interesu?... Można się wyrzec nawet najsłodszych ideałów! Czesi jednak mają słuszność wobec zbojkotowania przez wiedeńskich Niemców występów jubileuszowych teatru czeskiego we Wiedniu i wobec tych wszystkich szykan, na jakie są narażeni ze strony szwabskich współmieszkańców, było nawet ich obowiązkiem pokazać Niemcom rogi, a że się to udało, tego najlepszym dowodem uchwała wiedeńskich kupców.

Swoją drogą powinni Niemcy być dumni, że znaleźli tak gorliwych naśladowców, jak dalmatyńscy Włosi. Ci pozazdrościli swym trójprzymierzowym towarzyszom zdobytych dotychczas laurów i zrobili awanturę chorwackim Sokołom w Zadarze. Wprawdzie owoców było mało, ale krzyku dość. Dzisiaj jednak nie ten jest wielki, kto dużo robi, ale ten, kto dużo i głośno gada. Sprawdza się tu nasze stare przysłowie o tej krowie, która dużo ryczy, a mało mleka daje.

Dowcipną alluzyę z tego zrobiło jedno z pism niemieckich, tłumacząc swym czytelnikom, dlaczego cesarz Wilhelm, który tak entuzyazmuje się Zeppelinem, dał tak mało na składkę narodową na podzelowanie balonu zeppelinowskiego. Nie znając przytoczonego wyżej przysłowia oświadczyło mniej więcej to samo, a to chyba nie wpłynie podniecająco na ogół niemiecki, który jakoś zaczyna się krytyczniej zapatrywać na kwestyę balonową i ściskać worek, widząc, że pruskie aspiracye, by podbić powietrze, jakoś nie mają powodzenia.

Dziwnym trafem z rur czeskich zjechałem aż na Zeppelina, ale to wykolejenie tłumaczyć można wybuchem bomby w Krakowie! Takie spokojne miasto, a taka awantura! Wprawdzie komunikat urzędowy oznajmia, że był to wybryk jakiegoś indywiduum, które lubuje się w wywoływaniu podobnych tanich sensacyj, jednak krakowskie dewotki orzekły, że był to groźny zamach socyalistów na sodalicyę św. Piotra Klawera, która ma siedzibę w tym właśnie domu. Miał to być odwet za sromotną klęskę partyi podczas wyborów we Lwowie, kędy pięknie zorganizowana socyalistyczno-ukraińsko-syonistyczna przyjaźń zrobiła takie fiasco!

Być może, że dewotki mają słuszność, w każdym razie trzeba przyznać, że socyalna demokracya jakoś się chwiać poczyna, już choćby z tego brać przykład, że puszcza się na niby humorystyczne napaści, jak np. na lwowską wycieczkę do Pragi, podczas której jakiś zwolennik partyi, wsiadłszy do owego wycieczkowego pociągu, schować musiał zegarek z łańcuszkiem, aby go nie postradać (n. b. jeśli go miał!...). Ciekawie wogóle wyglądają różne oświadczenia *Naprzodu* i *Głosu*. Czytamy często, że tu i ówdzie popełniono jakąś kradzież, złodzieja jednak nie złapano, gdyż w tych okolicach policyant się nie pokazuje. Zdarzyło się jednak, że we Lwowie policyant, nazwiskiem Naleśnik, przytrzymał złodziejkę wynoszącą z domu tłomok ze skradzionymi przedmiotami i zaraz w lwowskim *Głosie* znalazł się artykuł pt. „Smaczny policyant“. Było to niby sprawozdanie, zaczerpnięte z policyi, ale przecież podane w takim tonie, jakby *Głosowi* było żal, że złodziejka dostała się w ręce sprawiedliwości. A tak zawsze narzeka, że złodzieje uchodzą z powodu braku dozoru!

Skoro zawadziłem o wybory, to nie od rzeczy będzie wspomnieć, że już w krótkim czasie i Bośnia z Hercogowiną będą się cieszyć temi zdobyczami konstytucyi. Grono notablów bośniackich na audyencyi u barona Buriana, zarządcy okupowanych krajów, uzyskało przyrzeczenie, że w najbliższym czasie zaprowadzi się w Bośni Rady powiatowe, jako przedsmak konstytucyjnych przyjemności. Słusznie pan baron zrobił, obiecując tylko troszkę, wiadomo przecież, że słodycze użyte w nadmiernej ilości szkodzą. Już Bośniacy nie będą mogli zazdrościć ani Austryi, ani Węgrom, boć przecież i podczas wyborów do Rad powiatowych można coś zarobić, a reszta zrobi się później.

Na wiadomość o tem postanowieniu rządu, część hyen wyborczych galicyjskich wybiera się za Dunaj, aby przygotować zawczasu teren do przyszłej akcyi. Przy tej sposobności założy się i podwaliny dla prasy bośniackiej, o ile można jak najbardziej liberalnej, gdyż tylko takowa jest przystępną dla „dowodów brzęczących“, jak to mieliśmy dowód na liberalnej prasie włoskiej, którą niedawno zdemaskowano, jako najbardziej skorrumpowaną.

Chociaż, jak tu winić zwykłego śmiertelnika o korrupcyę lub podobne występki, jeśli nawet ministrowie puszczają się na bystre fale! Dotąd słyszeliśmy o defraudantach *minorum gentium*, teraz przychodzi kolej na ich wysoko postawionych „kolegów“. Duński minister Alberti rozpoczął w alfabetycznym porządku seryę „ober-defraudantów“— tem się jednak różniąc od zwyczajnego złodziejskiego „plebsu“, że gdy nasi domorośli defraudanci i włamywacze trzymają się zasady, aby po aresztowaniu udawać waryatów i nic nie mówić, on, choćby inaczej wolał jego rząd, zaczyna sam nieproszony za dużo gadać! Ale jest nadzieja, że ze względów politycznych i z niego zrobią waryata, choć może sam nie zechce!

Z tej przyczyny będzie miał cesarz Wilhelm sposobność wygłoszenia znów jakiejś politycznej mowy, któraby wprawiła świat we większe podziwienie niż błogosławionej pamięci „Sardanapal“, a przejęła ludzkość podziwieniem dla władcy Wszechniemiec — bo teraz zaczynają ludzie coś szeptać, że choć Wiluś ma wąsy tak ostro podkręcone w górę, przecież jest podszyty zajęczą skórą, gdy nie odważył się zajechać na terytoryum francuskie, na które się wybierał, a o czem nie omieszkał zawiadomić całego świata. Biedny minister spraw zagranicznych francuskich musiał sobie przerwać kąpielowe przyjemności i telegrafować, aby czuwano nad całością cesarskiej osoby na francuskiem terytoryum, a tymczasem tak głośno zapowiadany gość przybył na granicę, popatrzył i odjechał. Może teraz powiedzieć o sobie, jak ongi Cezar, choć ze zmianą: *Veni, vidi, fugil*

Marokkańska sprawa nie daje spać europejskim politykom. Niemcy, które były pierwszym skrzypkiem w koncercie w Algesiras, wbrew powziętym wówczas uchwałom, starają się obecnie preforsować uznanie Muley-Hafida. Choć Francya i Hiszpania opierają się temu, i dopóki Muley nie zobowiąże się, że przyjmuje wszystkie punkty konferencyi, nie chcą go uznać za prawowitego władcę, Niemcy postanowiły zrobić wszystkim na przekór, i nieprzyjaźwszy swojego czasu jego poselstwa, obecnie starają się go przeforsować. Robi to dużo złej krwi, ale koniec końców nie wielkie dla nas nieszczęście, gdyby się nawet i tak rzeczywiście stało.

W obecnych czasach Niemcy chcą wszędzie wsadzić swoje trzy grosze, aby pokazać, że są pierwszem światowem mocarstwem, nie zdziwiłoby więc nikogo, gdyby np. cesarz Wilhelm ogłosił *urbi et orbi*, że w sprawie poronienia królowej Wilhelminy holenderskiej on żadnej winy nie ponosi. Byłoby z tego powodu trochę pisaniny po gazetach, ale wreszcie przeszedłby nad tem świat do porządku dziennego, jak i nad innemi oświadczeniami Wilhelma Zdobywcy. Swoją drogą, jako naczelny zwierzchnik Rzeszy niemieckiej powinien Wilhelm udzielić ks. meklemburskiemu, mężowi Wilhelminy holenderskiej nagany za kiepskie wykonywanie obowiązków państwowych, boć przecież wiadomą jest rzeczą, że rasa meklemburska jest pierwszorzędnej jakości. Po Wilusiu można się i tego spodziewać!

Z wielkiej polityki już tylko jeden skok na „wielki Kraków“. Zdawało się, że idea połączenia podmiejskich gmin z miastem nie natrafi na żadne trudności, gdy wtem wyrwał się Filip, ale nie z Konopi, lecz z Bierzanowa, czyli innemi słowy pan Czecz, prezes wielicko-podgórskiej Rady powiatowej i zaproponował, aby zamiast „wielkiego Krakowa“, utworzono „wielkie Podgórze“. Równocześnie rozpoczęła podjazdową walkę i krakowska „konserwa“, a p. Wł. L. Jaworski wytoczył ciężkie działo pod postacią bezimiennej broszury o finansach Krakowa, która ma odstraszyć sąsiednie gminy od łączenia się z Krakowem. Jest to wszystko sroga zemsta krakowskich konserwatystów na prezydencie Leo, głównym, jak wiadomo, propagatorze idei „wielkiego Krakowa“. Leo naraził się tym panom dezercyą z ich szeregów, to też radziby byli, gdyby mogli mu dokuczyć. Czy się uda, pokaże najbliższa sesya sejmowa, rozpoczynająca się 15 września, na której porządku dziennym jest właśnie sprawa połączenia gmin sąsiednich z Krakowem. Walka zapowiada się nie na żarty. Już dziś słyszymy, że wszelkie odcienie konserwatystów mają sobie podać rękę, a gdy nastąpi owa „fuzya“ Czasowników, Podolaków i jak się tam oni jeszcze nazywają — wtedy biada ci wielki Krakowie! Jakkolwiek się stanie, w każdym razie p. Czecz wsławił się swym humorystycznym projektem i życzymy mu za to z całego serca nagrody, choćby pod postacią uchwały sejmowej, pozwalającej na utworzenie „wielkiego Bierzanowa“. Kto wie, czy przy tej sposobności i przysłowie o Filipie z Konopi nie ulegnie jakiej zmianie.

Obecna sesya sejmowa nie budzi wielkiego zainteresowania, choćby dlatego tylko, że będzie, zdaje się, bardzo krótka, ze względu na przypieszony termin zwołania delegacyj; najbardziej niekontenci są z tego posłowie sejmowi, zazdroszcząc swym parlamentarnym kolegom, którzy tak dowcipnie się urządzili, że czy sesya jest, czy nie, dyety płyną nieprzerwanie bystrzejszą nawet falą niż w przyszłych kanałach, na których budowę jakoś nie można się doczekać. Rząd jednak nie lubi się spieszyć. Dobrze powiada niemieckie przysłowie: *Eile mit Weile*. W ślad za rządem wszystko się spieszy powoli, np. tramwaj krakowski, budownictwo miejskie z robotami w ulicy Floryańskiej itd., jedna tylko śruba podatkowa nie ustaje w pracy.

Pogoda także nam nie dopisuje, coś się popsuło w niebieskich regionach i deszcz jak kapał w lecie, tak sobie kapie i w jesieni. Przeciętny człowiek o ile nie siedzi w knajpie musi siedzieć w domu, a tu niema się czem rozerwać, bo nasi ojcowie miasta nie powrócili jeszcze z wakacyjnych wywczasów, więc też niema i nic humorystycznego. Zupełnie się to zmieni, skoro zaczną się posiedzenia Rady miejskiej, obyśmy tylko doczekali tej chwili, gdyż śmierć grozi na każdym kroku, jeśli nie z powodu zamoknięcia, to z powodu powykręcania nóg na rozkopanych brukach i chodnikach. Oby ona jednak nadeszła z szybkością krakowskiego tramwaju lub z pośpiechem, z jakim magistrat załatwia pilne „kawałki“, będziemy wtedy pewni, że doczekamy sędziwej starości.

Aby to zaś stać się mogło, należy popierać przemysł krajowy i niech tam sobie kto, co chce mówi o bojkotowaniu karczem lub zamykaniu na niedziele szynków, po nas się to nie pokaże, abyśmy mieli narażać na szwank tak wydatne gałęzie przemysłu krajowego, jak gorzelnictwo i browarnictwo.

Sądząc, że każdy z Szan. Czytelników podziela moje zapatrywania, mam zaszczyt, o ile jednak czas pozwoli, zaprosić na „bombkę“ do Hawełki, bo to najlepsza dezynfekcya i środek zaradczy przeciw cholerze, która obecnie już nie zwykłym „brodzkim“ traktem, ale na Tarnopol zjechała do Galicyi na gościnne występy. Mało było tego roku różnych przyjemności jak: wylewy, ulewy, gradobicia, przybywa do nich jeszcze cholera! A niech ją cholera!... *X.*



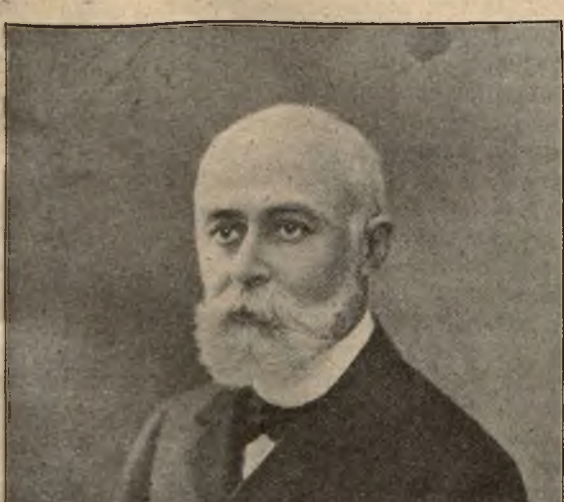
Złote gody wielkiego poety: Jubilat Björnstjerne-Björnson ze swą małżonką.

Złote gody wielkiego poety.

Wielki mistrz słowa i znakomity dramaturg norweski Björnstjerne-Björnson, święcił przed paru dniami złote swoje gody. Z tego powodu otrzymał sędziwy poeta mnóstwo dowodów przyjaźni i życzeń z całego niemal świata.

Był czas, kiedy znakomity ten pisarz i wśród Polaków cieszył się wielką sympatyą a dzieła jego rozchodziły się w tłómaczeniach w tysiącach egzemplarzy, wystawiane zaś na scenach polskich teatrów ściągały tłumy publiczności.

Dziś popularność Björnstjerne-Björnsona w Polsce znacznie się zmniejszyła a jeszcze bardziej zmniejszyły się sympatye dla niego. Stało się to, jak wiadomo, z tego powodu, że Björnstjerne-Björnson, nie znając stosunków w Polsce, nie znając też istoty zatargu i sporów polsko-ruskich, zabrał w tej doniosłej sprawie głos i... palnął głupstwo.



Smierć znakomitego fizyka: Śp. Henryk Becquerel.
(Do artykułu na str. 3).

Odpowiedź, jaką mu dał ze strony polskiej Sienkiewicz, wykazała dowodnie, jak gruntownie mylił się wielki pisarz, biorąc w obronę Rusinów, a potępiając Polaków.

Okazało się też wówczas dobitnie, że można być bardzo utalentowanym poetą a bardzo kiepskim politykiem.

Ten brak zdolności politycznych i dyplomatycznych idzie zaś u Björnsona w parze z dziwnym zapałem do mięszania się w tego właśnie rodzaju zawiłe problematy. Bo nietylko w sprawie polsko-ruskiej zabierał on głos. Zdarzało mu się to już przedtem i potem w innych kwestyach.

Niewątpliwie taka gorliwość i taka chęć służenia dobru ludzkości jest rzeczą bardzo chwalebną. Tembardziej, że autorowi płomiennych owych artykułów zdaje się, iż staje w obronie „pokrzywdzonych“ przeciw ciemiężycielom. Tymczasem sędziwy poeta, nie znając stosunków wśród obcych sobie narodów, i naginając wnioski do fałszywych, z prawdą niezgodnych premis, krzywdzi właśnie tych, którzy raczejby na obronę zasługiwali.

Ostatecznie jednak nie trzeba sobie zbyt brać



Minister defraudant: Minister duński Alberti.
(Do artykułu na stronie 13).

do serca „gawęd“ staruszka z Norwegii. Krzywdy one nam nie zrobią. I ze względu na to należy mu oddać hołd za to, co dał literaturze ojczystej i literaturze całego świata.

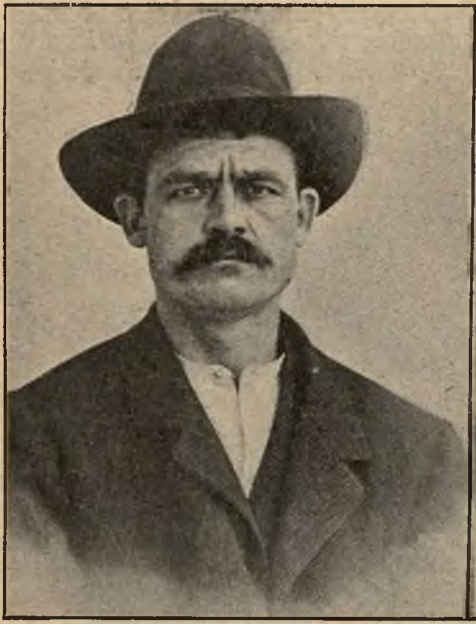
Bo na tem polu zasługi Björnstjerne-Björnsona są istotnie olbrzymie i niespożyte. Wzbogacił on literaturę długim szeregiem dzieł wysokiej bardzo wartości, znanych i cenionych powszechnie. Część ich wystawiły teatry polskie w Krakowie, Lwowie i Warszawie.

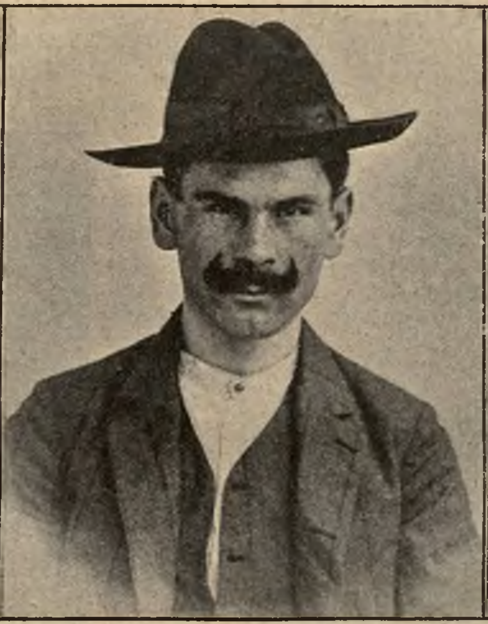
Z okazyi złotych godów poety, zamieszczamy dziś illustracyę, przedstawiającą Björnstjerne Björnsona w towarzystwie małżonki.



Instytut muzyczny w Krakowie: Grupa założycieli i kierowników. Siedzą pp. Czop-Umlaufowa i M. Świerzyński; stoją od lewej ku prawej pp. Giebułtowski, Raczyński i Walewski. (Do artykułu na str. 4).

Szajka morderców przed sądem:


Teodor Tyszek.


Piotr Czabak


Stefan Gałuszka.


Marya Czabakowa

Szajka morderców przed sądem.

Odroczona na wiosnę rozprawa karna przeciw szajce rabusiów i morderców, którzy w lecie z poprzedniego roku dokonali długiego szeregu rozboju i mordów w karczmach w okolicy Gródka Jagiellońskiego, toczy się od dni kilku przed sądem przysięgłych we Lwowie, budząc wielkie zainteresowanie.

Jak wiadomo już, na czele zbójeckiej szajki stali Piotr Czabak i Teodor Tyszek, a także matka pierwszego z nich, Marya Czabakowa. Narzędziem ich był młody parobek Gałuszka. Już rozprawa w Przemyślu wykazała dowodnie winę wszystkich oskarżonych i wyrok zasądzający zdawał się nie ulegać wątpliwości. Ponieważ jednak dwaj główni oskarżeni, Czabak i Tyszek, symulowali obłęd — trybunał widział się zmuszonym rozprawę odroczyć, a obu oskarżonych odesłać pod obserwacyę lekarską. Obserwacya trwała pół roku. W tym czasie jeden z winnych, Tyszek, uznał, iż tą drogą nic nie wskóra, zaprzestał przeto symulacyi i przyznał się do wszystkich prawie zarzuconych mu zbrodni, zwalając tylko winę na Czabaka, jako na inicyatora wszystkiego.

Natomiast oskarżony Czabak trwa dalej w uporze i niedołężnie symuluje obłęd, mimo iż lekarze z całą stanowczością uznali go zdrowym umysłowo.

Nie odstrasza to ani jego, ani dzielnego obrońcy, znanego i cenionego adwokata lwowskiego dra Solańskiego. Postawił on mianowicie w ciągu toczącej się obecnie rozprawy wniosek o ponowne oddanie Czabaka pod obserwacyę i wniosek swój bardzo szeroko motywował, powołując się między innymi na tak niedawny wyrok trybunału kasacyjnego w Wiedniu, który to trybunał polecił zbadać stan umysłowy „bohatera“ ukraińskiego, Siczyńskiego, mimo iż ten całem swem życiem i zeznaniami przed sądem złożonemi udowodnił, iż jest całkiem zdrowy. Jeśli więc Siczyńskiego mają badać psychiatrzy, mimo iż on tego nie pragnie, to tembardziej należy się ta przyjemność Czabakowi, który z uporem i stanowczością obstaje przy swem twierdzeniu, iż jest waryatem.

Mimo bardzo wymownych słów mecenasa Solanskiego, trybunał nie przychylił się do jego wniosku i rozprawę prowadzi dalej, w nadziei, że albo Czabakowi rola waryata się znudzi, albo że przysięgłym wystarczą dotychczasowe wyniki śledztwa, rozprawy i badań lekarzy znawców.

Rozprawę we Lwowie prowadzi radca Jonasz i stara się usilnie przedstawić ławie przysięgłych dostateczny materyał, by mogli orzec o winie oskarżonych.

Wyrok zapadnie zapewne w najbliższych już dniach, rozprawa bowiem dobiega ku końcowi.

Z każdym dniem wzrasta też wśród publiczności lwowskiej zainteresowanie rozprawą, a sala rozpraw, która w pierwszych dniach była prawie pusta, następnie zapełniała się każdego dnia szczelnie.

Zainteresowanie budzili nietylko oskarżeni, typy w każdym razie bardzo niezwykłe, ale i galerya świadków, których wielu przesunęło się przed oczyma publiczności. Niektórzy z nich opowiadali zajmujące szczegóły o tem, jak Czabak odbywał w czasie śledczego aresztu studya celem symulowania choroby umysłowej.

Z lwowskiego bruku.

(»Nasz kraj« jeszcze żyje. — To się trafia. — Ja zaczekam. Pawlikowski z Hellerem. — Co z tego będzie? — Nowy Sejm i same nowości. — Uroczyste otwarcie i zamknięcie. — Nieczułość na sensacyę. — Cholera, szkarlatyna i inni goście we Lwowie. — Zamknięta Filharmonia i Colosseum).

Mimowolnie wyrządziłem ostatnim listem małą przykrość redakcyi *Naszego kraju*, bo polegając na informacyach głównego nakładcy tego pisma i kilku trafik sprzedających dzienniki, w których mi mówiono, że ten tygodnik przestał wychodzić, napisałem mu nekrolog. Tymczasem pokazało się, że z pewnem opóźnieniem wyszedł nowy numer, którego treść wprawdzie wcale nie świadczy o jego żywotności, ale w każdym razie przekonała mnie, że mój nekrolog był trochę przedwczesnym. Podtrzymując tedy w zupełności całą treść nekrologu *Naszego kraju*, oświadczam tylko, że nieprawdziwą była wiadomość, jakoby już umarł, ale owszem żyje. Niech żyje!...

Zdarza się przecież czasem, że przyszły nieboszczyk dopiero jest w agonii, a tu już puka do drzwi pełnomocnik zakładu pogrzebowego i pyta delikatnie:

— Przepraszam, czy już tatko umarł?

— Jeszcze nie! — wołają spadkobiercy wściekli — wynoś się pan, bo jeszcze żyje!

— To nic nie szkodzi — mówi przewidujący przedsiębiorca — ja trochę zaczekam w przedpokoju.

Ja także jeszcze trochę zaczekam. Mogę zresztą czekać, bo mam jeszcze przedtem załatwić kilka spraw pilniejszych, nie cierpiących zwłoki.

Otóż przedewszystkiem zanotować muszę sojusz teatralny, o którym dziś mówi całe miasto z niekłamaną sympatyą, obiecując sobie po nim bardzo wiele. Mówię o połączeniu się dyr. Hellera z dyr. Pawlikowskim, który na trzy lata objął kierownictwo dramatu lwowskiego. Dzienniki i cała opinia publiczna powitały tę kombinacyę z prawdziwem zadowoleniem. Nawet najwięksi zwolennicy pana Hellera musieli przyznać, że komisya teatralna nietylko dla kaprysu żąda ustanowienia dramaturga przy teatrze miejskim, bo p. Heller sam nie wystarcza. Nie przynosi to ujmy panu Solskiemu, że sobie trzyma dramaturga, dlaczegoż miałby się żenować pan Heller, jeśli mu się mówi, że jego znane zdolności przecież nie są wszechstronne? Teraz zarazem spada na p. Pawlikowskiego cała odpowiedzialność za dobre prowadzenie dramatu. Chodzi tylko o to, jak p. Pawlikowski pogodzi swoje nieraz wielkopańskie zachcianki z ołówkiem rachunkowym pana Hellera? I jak p. Heller pogodzi swoją podwójną, a może i potrójną buchalteryę z rafinowanym smakiem p. Pawlikowskiego. Jeżeli na tym właśnie punkcie nie poprztykają się obaj — jak ich nazywa komunikat — współkierownicy, to wszystko będzie w porządku i dramatowi naszemu możnaby wróżyć piękną przyszłość. Jeżeli zaś p. Pawlikowski ciągnąć będzie teatr do góry, nie oglądając się na koszta, jak za swojej dyrekcyi, a p. Heller ciągnąć go będzie wyłącznie do kasy, to współkierownictwo rychło się podzieli i rozbije. Są dziś panujące w opinii lwowskiej dwa zdania: optymiści upatrują w tem połączeniu zwrot znamienny w teatrze lwowskim i wróżą mu najlepszą przyszłość, pessymiści twierdzą, że do roku rozbije się cała historya. My przyłączamy się do pierwszego zdania i życzymy obu kierownikom powodzenia i wytrwałości.

Nowością jest także nowy Sejm, który po raz pierwszy zebrał się we wtorek i rozpoczął obrady niezwykle uroczyście. Powracających z kościoła posłów w strojach polskich przywitała kapela „Harmonii“ przed gmachem sejmowym. Ogólną uwagę zwracał na siebie młodziutki poseł Stanisław Henryk hr. Badeni, syn marszałka, o typie wybitnie badeniowskim, ale krótkowidzący, w pięknym kontuszu. Także nowy namiestnik dr. Bobrzyński w nowiuteńkim mundurze austryackim ze złotymi „lampasami“ u spodni, budził sensacyę, zwłaszcza gdy zajął miejsce, które, zdaje się, wczoraj jeszcze zajmował śp. Andrzej hr. Potocki. Pierwsze posiedzenie miało przebieg niezwykle uroczysty i uroczyste zakończenie: na wniosek hr. Wojciecha Dzieduszyckiego zamknięto posiedzenie na znak żałoby po śp. Andrzeju hr. Potockim.

Poza tem nie mamy w mieście nic ciekawego. Rozprawa bydląt w ludzkiej skórze, Czabaków, Tyszyków i tow., zapowiadała się sensacyjnie, a nie zdołała obudzić większego zainteresowania. Lwów przytępił się już tak bardzo sensacyami, że byle co nie wytrąca go z równowagi. Po zamordowaniu namiestnika i procesie Siczyńskiego lada sensacya nie zaimponuje nam tak prędko, a jakieś tam samobójstwo, morderstwo lub defraudacya, nie dochodząca do stu tysięcy, nikogo już nie zajmuje.

Nawet wieści o nadciągającej cholerze nie robią należytego wrażenia. Przeciwnie, są tacy, którzy na nią czekają z rozmaitych powodów. Inni zaś nie wierzą już wogóle w cholerę, uważając każdą o niej wiadomość za kaczkę. Tyle razy ją zapowiadano, tyle razy przygotowywano się na jej przybycie i kazano czyścić miasto, że dziś już żaden obywatel lwowski nie wierzy w możliwość przyjścia cholery i nie da się namówić do oczyszczenia swego podwórza, które u nas — jak wiadomo — czyści się tylko wtedy, kiedy nadciąga lub wybucha jakaś wielka epidemia.

Niewygasająca nigdy epidemia szkarlatyny szerzy się dalej przy gorliwej pomocy fizykatu miejskiego, który teraz przynajmniej codziennie ogłasza w dziennikach, ile zaszło nowych wypadków. A mamy ich codziennie — kilkanaście. To jest najlepszym dowodem, jak skutecznie się ją zwalcza.

Nawet już szkoły otwarto, bo swoją drogą niepotrzebnie odroczono otwarcie, skoro szkarlatyna szerzyła się przez rok cały i dalej nie ustaje. A na cały rok trudno było pozamykać szkoły. Natomiast z przyjemnością donoszę, że Filharmonia będzie w tym roku zamknięta z powodu szkarlatyny. Tak samo Colosseum.

(* * *).

U wrót śmierci

Powieść wysnuta z aktów paryskiego archiwum karnego,

przez M. Level'a.

11 Ciąg dalszy

W centrali śmiano się.
Tupał nogami ze złości.
— Hallo! proszę pani, przy tej linii jest nas dwóch.
— Słyszę to dobrze, lecz to nie z mojej winy. Potem będzie pan rozmawiał.
— Już kwadrans jak czekam, dłużej nie myślę...
Nie dokończył zdania, gdyż rozmowa, jaką prowadzono z redakcyą poczęła go bardzo intrygować.
Ktoś mówił:
— To nieprzyjemnie, o której on zwykle przychodzi?
I inny głos, w którym rozpoznał sekretarza redakcyi, odpowiadał:
— Mniej więcej o pół do piątej, o piątej... nie można jednak na to liczyć.
— Jakże to przykre — mówił pierwszy — a gdzieby go można znaleść?
— Gdzież ja do dyabła słyszałem już ten głos? — myślał Coche.
— Nie wiem wcale — odpowiedział sekretarz Avyot.
— W każdym razie przyjdzie wieczorem? Niech pan z łaski swej poprosi go, by zaszedł do mnie w nader pilnej sprawie...
— To niemożebne... żałuję bardzo, lecz on jest nieobecny i nie wiem wcale, czy...
Coche przycisnął silniej słuchawki do uszu.
— Lecz kiedyż on wróci?
— I tego nie wiem, nieobecność jego może się przeciągnąć...
— Ale Paryża nie opuścił?
— Niestety i na to pytanie nie jestem w stanie dać odpowiedzi.
— Ależ oni o mnie rozmawiają — domyślił się Coche — lecz czyj to głos?
Avyot zawołał głośniej:
— Proszę nie przerywać, rozmawiamy.
I Coche, zainteresowany rozmową, zawołał mimowoli: rozmawiamy. Ugryzł się zaraz w wargi, w obawie czy go nie usłyszano, na szczęście jednak telefonistka już odeszła. Rozmowa toczyła się dalej:
— Adres jednak może mi pan dać?
— Proszę bardzo...
— A czy mogę spodziewać się, że go zastanę w domu?
— Ależ to komisarz — pomyślał Coche —żem ja go też nie rozpoznał odrazu!
Dreszcz go przeniknął, ręce ścisnęły kurczowo słuchawki, czuł, że blednie. W jakim innym celu komisarz tak się o niego dopytywał, jeżeli nie by... nie mógł już nawet w myśli sformułować tego zdania, lecz słowo to, którego tak się obawiał, jawiło się samo: aresztować! będę aresztowany! A może sekretarz nie da adresu, pomyślał i chciał wołać: nie dawać adresu! lecz w porę pohamował się, bo w ten sposób oskarżyłby się tylko.
W telefonie rozmawiano:
— Nie wiem, czy zastanie go pan w domu. Adres jego następujący...
W sekundzie tej jawiła mu się myśl, że to może nie o nim mowa, lecz Avyot mówił dalej:
— Ulica de Douai, numer 16.
— Dziękuję bardzo, przepraszam, żem pana niepokoił.
— Ach, to drobnostka, niema za co, panie komisarzu.
— Dowidzenia.
Coche słyszał, że rozmowa już się skończyła, mimo to pozostał tam ze słuchawkami przy uszach, oczekując, spodziewając się i lękając czegoś, jakby odniesione wrażenie przykuło go do tego miejsca. Dopiero po kilku minutach przyszedł do siebie. Wychodząc z pokoiku telefonicznego, zawahał się:
— A może już tutaj na mnie czekają, może czyjeś ręce pochwycą mnie zaraz?
Myśl o swej niewinności nie przyszła mu nawet do głowy, jedyna bowiem pozostała mu tylko, a mianowicie: aresztowanie. Oprzeć się jej nie mógł; przestraszała go, hypnotyzowała, jakoś dziwnie pociągała ku sobie, wabiła. Niepokoiło go przytem i to, iż nie wiedział, co mogło tak szybko naprowadzić policyę na jego ślady.
Po chwili zdecydował się wreszcie wyjść i niezatrzymywany przez nikogo, opuścił salę telefoniczną.

* * *

Po skończonej rozmowie z Avyotem, komisarz wszedł do pokoju, w którym zbierali się ajenci. Jeden z nich, siedząc przy stole, zdawał się być pogrążony w jakiejś bardzo ważnej pracy.
— Czy bardzo pilne ma pan zajęcie obecnie — zapytał go komisarz.
— Bardzo pilne... nie — odpowiedział ajent, uśmiechając się, lecz im prędzej skończę, tem lepiej... Szukam w księdze adresowej ulic z przedimkiem *de*, z powodu tych kartek, które znaleźliśmy na bulwarze Lannes.. nic nie szkodzi popробować...
— A więc, kiedy nie jest to tak bardzo ważne, niech pan porzuci na chwilę to szukanie, weźmie dorożkę i pojedzie do pana Onesime Coche'a na ulicę de Douai pod nr. 16.
— Jak, ulica de...? — zapytał żywo ajent.
— Na ulicę de Douai, numer 16... wie pan przecież, gdzie ona leży?
— Tak, tak... lecz nie to mnie tak dziwi, ale ta liczba 16, a przytem ulica *de*...
Teraz komisarz zdumiał się: liczba ta, do której nie przykładał najmniejszej wagi, poczęła nabierać znaczenia. Popatrzył na ajenta, ten na niego i obaj pozostali tak przez chwil kilka, nie mogąc wyrazić podejrzenia, które im się obecnie nasunęło.
— Ależ — odezwał się komisarz, wzruszając ramionami — i czegóż my szukamy? Zjawi się jakaś myśl i zaraz jej się chwytać! Jeżeli zacznie pan podejrzewać wszystkich ludzi, ktorzy mieszkają pod numerem 16...
— Ja tego nie twierdzę, lecz w każdym razie dziwny to zbieg okoliczności. Jadę zaraz!
Ponieważ komisarz sam nie zwrócił uwagi na tę liczbę, duma nie pozwalała mu potem uznać podejrzeń ajenta; mimo to po jego odjeździe myśl o Coche'u już go nie opuszczała. Zwolna począł przypominać sobie całe masy drobnych szczegółów...
Naprzód *Sztandar* z dziwną informacyą, której źródła nie mógł odkryć, potem tajemnicze odezwania się Coche'a, jego ironiczne zachowanie się, niejasne odpowiedzi, odkrycie przez niego śladów, a wreszcie to wzruszenie na miejscu zbrodni. Lecz jeżeli przypuścić, że Coche odegrał pewną rolę w tej zbrodni, to jak wytłomaczyć jego śmiałość, jaką okazał przez żądanie towarzyszenia komisarzowi?... A jednak?
Gdy doszedł do tego punktu w swych rozmyślaniach, spostrzegł, iż dalej nie może się już posunąć we wnioskach. Irytował się tem, jak również poprzednią lekkomyślnością, iż zlekceważył znalezione kartki. Zresztą za kilka minut wszystko będzie wiadomem. Gdy zjawi się Coche, wykaże mu, nie wyjawiając swego podejrzenia, całą nienaturalność jego zachowania się. Co on wie, będzie łatwo dowiedzieć się od niego, trudniej jednak zmusić go do powiedzenia, skąd wie. Przecież sam się wyraził, że „prasa rozporządza różnymi środkami wywiadowczymi“.
Jakież więc to środki?... by je poznać, nie cofnie się nawet przed nastraszeniem go. Sprawę tę weźmie wkrótce w swe ręce sędzia śledczy, a on musi oddać ją odartą już z tych tajemniczych osłonek, któremi jest dotychczas zakryta.
Zabrzmiał dzwonek telefonu:
— Kto mówi? — zapytał.
— To ja, Javel, którego pan komisarz posłał na ulicę de Douai.
— Jakie wieści?
— Coche nie pokazał się u siebie już od trzech dni...
Na twarzy komisarza odbiło się silne zdziwienie. A więc od trzech dni nie było go ani w redakcyi, ani w domu. Chociaż podejrzewanie Coche'a pozbawione jest wszelkiego prawdopodobieństwa, mimo to trzeba zwrócić na niego baczniejszą uwagę. Tutaj są możliwe tylko dwie hypotezy: albo Onesime Coche udaje tylko, że opuścił Paryż, by tem lepiej niezależnie od policyi prowadzić śledztwo na własną rękę, albo też rzeczywiście jest zamieszany w jakikolwiek sposób w tę zbrodnię.
I tutaj nastręczają się znowu dwie kwestye: albo Coche jest już daleko, oddzielony od policyi setkami kilometrów, albo też złoczyńcy jacyś, obawiając się wydania z jego strony, obezwładnili go, a może nawet i zamordowali...
Nachylił się do tuby i zapytał ajenta:
— Innych wiadomości niema pan?
— Nie panie komisarzu, to wszystko.
— Do jutra więc odłóżmy tę sprawę — zakończył komisarz rozmowę i powiesił słuchawki.
Jutro mój naczelniku — mruczał ajent do siebie — będzie już za późno, bo jutro będę już go miał w swych rękach. Widząc bowiem, że komisarz lekceważy jego odkrycia, postanowił sam prowadzić śledztwo bez niczyjej pomocy. Od chwili znalezienia kawałków koperty, czuł, iż dalsze poszukiwania winny opierać się na tym dowodzie, upewnił się zaś co do tego najzupełniej, gdy usłyszał numer domu Coche'a. Żałował nawet, iż zdradził się z tem przed komisarzem, pocieszyło go jednak to, iż szef jego jest zbyt dumnym, by słuchać wskazówek niedoświadczonego ajenta. Pewność, iż komisarz nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, pozwoli mu obecnie tem spokojniej prowadzić całą sprawę w powziętym kierunku.
Przechodząc przez ulicę de Douai, zatrzymał się przed domem pod numerem 22 i postanowił wejść do środka. Rozważył szybko, iż jeżeli myli się, nikt o tem nie będzie wiedział i nic to sprawie nie zaszkodzi.
Mieszkanie stróża znajdowało sie zaraz koło bramy. Otworzył drzwi i zapytał:
— Czy mieszka tutaj pan Onesime Coche?
— Nie wiem, czy taki mieszka.
Zrobił minę zawiedzionego i jął uprzejmie tłomaczyć:
— To dziennikarz, może mógłby mi pan powiedzieć?
Stróż, który grzał sobie przy piecyku ręce, nie odwrócił się nawet, lecz w tej chwili weszła z podwórza jego żona i zapytała, czego chce. Javel widząc, że jest przystępniejszą od swego męża, albo przynajmniej ciekawszą, powtórzył:
— Rozchodzi mi się o jednego dziennikarza, pana Onesime Coche'a. Mówiono mi, że tutaj mieszka. Widocznie dano mi fałszywy adres, lecz może pani wie...
Stróż wzruszył tylko ramionami, za to żona jego odezwała się:
— Jakto? nie przypominasz sobie — i zwracając się do ajenta, dodała:
— Nie mamy obecnie takiego lokatora, lecz mieszkał u nas jeden dziennikarz, który wyprowadził się przed pół rokiem. Kilka razy nawet listonosz przyniósł dla niego listy — a odwróciwszy się do męża, dodała: — Prawda, że niema nawet miesiąca, jak zostawił u nas jeden... Niech pan poszuka go pod numerem 16 lub 28.
Javel przeprosił ich grzecznie, podziękował i pełen radości, podśpiewując pod nosem, pobiegł pod wskazany numer. Wszedł pospiesznie do domu pod numerem 16 i zapytał:
— Czy pan Coche w domu?
— Nie, niema go.
— A kiedy wróci?
— Nie wiem, zdaje się, że wyjechał w podróż...
— O, do dyabła — zaklął Javel — nie wiedziałem tego... A czy nie mógłbym się dowiedzieć, na jak długo wyjechał?
— Nie mogę pana objaśnić co do tego, lecz niech pan zostawi kartkę, to ja ją doręczę z innymi listami, które czekają na niego już od trzech dni...
Czując, że może tutaj zebrać trochę informacyj o nim i że stróżka swobodniej będzie rozmawiała u siebie w domu, niż na progu mieszkania, odpowiedział:
— Jeżeli nie będzie to pani przeszkadzało, tobym napisał.

(Ciąg dalszy nastąpi)

NADESŁANE.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Odgadnijcie znaczenie szarady niedługiej:
Płynie rzeka wspaniała, a na każdym brzegu
Dwie litery na straży. z tych co to w szeregu
Alfabetycznem stoją jedna koło drugiej.
Jeśli wszystko ustawi umiejętna ręka,
Będzie mała panienka, jej imię . . . . . . !

Krzyż magiczny.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy czytane jednakowo w kierunku pionowym i poziomym.

			1	2	3		
			a	a	a		
			a	a	e		
1	e	e	e	g	g	h	h
2	i	j	j	l	l	r	r
3	r	r	s	t	t	t	t
			n	n	p		
			p	y	y		

Znaczenie wyrazów:

1. Przywłaszczanie cudzych pomysłów.
2. Nauka o zachowaniu zdrowia.
3. Inaczej wykaz (spis).

Szarada.

Ułożył W. M. Kraków.

Pierwszą drugą odwrotnie i czwartą znajdziecie,
Jeżeli poszukacie w każdym alfabecie,
Pierwsza i trzecia, ptaki pięknie upierzone,
W klatce tylko czasami zwiedzą naszą stronę,
Całość dobrze nam znana, choć leży daleko,
Za morzem, za górami, za dziesiątą rzeką.

Logogryf.

Ułożył Izydor Zirler, z Rohatyna.

Kwadraty i kreski zastąpić tak literami, by wstawione w miejsce kwadratów w pierwszym i trzecim rzędzie, czytane z góry na dół dały nazwisko i imię dwu współczesnych słanych powieściopisarzy polskich.

■	–	■	–						
■	–	■	–	–	–				
■	–	■	–						
■	–	■	–	–					
■	–	■							
■	–	■	–	–	–	–	–	–	–
■		■	–	–		–	–		
■	–	■	–	–	–	–	–		
■	–	■	–	–	–	–	–		
■	–	■							
■	–	■	–						
■	–	■	–						
■	–	■	–	–	–	–	–	–	
■	–	■	–						
■	–	■	–						
■	–	■							
■	–	■	–	–	–	–	–	–	–
■	–	■	–	–	–	–	–		

Znaczenie wyrazów: Potrawa mączna wyrabiana z palm. 2. Miasto w Czechach. 3. Starożytny bajkopisarz. 4. Inaczej przeciwnik. 5. Owad. 6. Miejsce kąpielowe w Galicyi. 7. Miejsce klimatyczne w Galicyi. 8. Inaczej wychodźca. 9. Imię męskie. 10. Minerał niezbędny dla człowieka. 11. Zwierzę owadożerne. 12. Imię męskie ruskie (zdrobniałe). 13. Zmarły niedawno poeta i malarz. 14. Imię męskie. 15. Znajdziesz napisane na towarach. 16. Inaczej porządek. 17. Imię męskie. 18. Główne miasto w Królestwie Polskiem.

Za trafne rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy powieść H. Zbierzchowskiego pt. **»Malarze«**.

Rozwiązanie zagadek z Nru 36

Szarada.

Pelargonia.

Zagadka głoskowa.

Juliusz Kossak.

Logogryf.

Henryk Sienkiewicz

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: J. Wielgus Wadowice, W. Stanula Sarnocice, M. Serbeńska Bodzanów, K. Fuchs Czeremchów, M. Arbesbauer Lwów, Z. Gaudnik Stary Sącz, J. Januszewski Podgórze, A. Bocsoń Bóbrka, J. Badura Rożdzień, J. Wyszatycki Jarosław, M. Stachowicz Kraków, O. Górkowa Chyrów, Płaziński Tarnów, E. Lorber Kimpolung, E. Ostaszewski Nowy Sącz, A. Krygowski Rzeszów, M. Lasocińska Bochnia, E. Borkowska Ujście, E. Misiewicz Wiedeń, B. Hirschsprung Lwów, H. Stojowska Rzeszów, Z. Lemiszewski Przemyśl, J Barnat Rzeszów, K. Czerwiński Sanok, J. Türk Tarnopol, S Kubacki Piotrków, A. Rojek Lwów, B. Leszczyński Stryj, A. Wojde Warszawa, W. Ossowski Warszawa, H. Liebeskind Oświęcim, J. Płonka Ostrawa, St. Ogórek Kołomyja, J. Przeworski Zarudzie, G. Lemochowski Ostrów, J. Czarkowski Horodnica, K. Strojnowski Stanisławów, K. Padechowicz Czerniowce, Z. Biegański Kamieniec, K. Fukała Ruska wieś, J. Darocha Sokołów, W. Thun Płock, H. Krawecka Tarnoruda, Z. Gramski Wiedeń, L. Ostersetzer Lwów, K. Lewkowicz Czerniowce, Z. Zapałowicz Piotrków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał G. Lemochowski Ostrów. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

Z półek księgarskich.

Informator studencki ułożył B. Rozmarynowicz. 1908. Drukarnia »Czasu«.

Staraniem Organizacyi polskiej młodzieży szkół średnich wyszedł świeżo z pod prasy Kalendarzyk studencki na rok szkolny 1908/9, zawierający prócz kalendaryum i przewodnika po Krakowie, zbiór nowych przepisów o egzaminowaniu i klasyfikowaniu uczniów w szkole średniej, oraz nowe przepisy maturyczne. Obok najważniejszych przepisów pocztowych i telegraficznych, oraz rozkładu jazdy na kolejach państwowych, znajdujemy w »Informatorze« spis firm krakowskich, udzielających studentom zniżek przy zakupnie towarów, oraz wskazówki co do bojkotowania towarów pruskich Ważniejsze daty z dziejów polskich i zbiór pieśni patryotycznych dopełniają składnie całości. Wydawnictwo przedstawia się bardzo dodatnio, a nizka cena (30 halerzy), dozwala każdemu zaopatrzyć się w egzemplarz »Informatora«, który nietylko młodzieży szkolnej, ale każdemu wogóle może oddać odpowiednie usługi. Zewnętrzna strona wydawnictwa nie pozostawia nic do życzenia.